

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 37 (1188) ROK XXIII

14 WRZESNIA 1980 R.

CENA 3 ZŁ

W NUMERZE: Polacy
na Kongresie Histo-
ryków ■ Między ide-
ałami a prawdą ży-
cia ■ Upadek gigan-
ta ■ Z dziejów Bałut
■ Recenzje ■ Felie-
tony ■ Magazynek

Wszystkie komentarze prasowe, korespondencje zagraniczne, zanotowane na gorąco wypowiedzi przedstawicieli różnych grup społecznych, rozpoczynają się od słów: „z uczuciem ogromnej ulgi...”. Reakcja naturalna dla każdego uczestnika dramatu, a bez wątpienia uczestniczyliśmy w nim wszyscy. Jedni bliżej, inni dalej od sceny, ale tak samo psychicznie spięci, z podobnymi niepokojami i nadziejami, potężeni świadomością, że droga wyjścia jest tylko jedna.

Powszechna jest też świadomość, że niedopuszczenie do przekształcenia sierpniowego dramatu w tragedię jest dopiero osiągnięciem nowego punktu wyjścia do celu, jakim będzie trwałe uporządkowanie naszego wspólnego domu — Polski. Czy mamy takie gwarancje? Powiem może zbyt prosto, a zarazem patetycznie: mamy i nie utracimy ich, jeśli ani na moment nie zapomnimy, że gwarantem pomyślności naszej sprawy jest każdy z nas, dziś i jutro, każdego dnia, zawsze.

PO IMIENIU

Istnieją też uwarunkowania nowe. Obiektywnie wyrosłe czy raczej ujawnione na gruncie ostatnich doświadczeń. Mam tu na myśli przede wszystkim decyzje trzech kolejnych plenum Komitetu Centralnego partii, debatę Sejmu PRL, powszechny dialog władzy ze społeczeństwem, sformułowane oceny, doraźne decyzje, a także pierwsze próby nakreślenia kierunków działania do trwałych rozwiązań. Były owe oceny i decyzje od dawna o czekiwane, nie stanowiły niespodzianki, ujawniały tłumione emocje, ale także sądy od dawna przemyslane. Dotyczy to zarówno sprawujących bezpośrednio władzę, jak i ludzi nauki, publicystów, działaczy partyjnych i gospodarczych średniego i niższego szczebla, a przede wszystkim tysięcy „zwykłych” obywateli odczuwających potrzebę samookreślenia i wyrażenia sądu o swoich sprawach.

Ocen tych (swoją opinią wyrażaliśmy — jako zespół — w artykule wstępnym sprzed dwóch tygodni) nie sposób tu przytaczać ani nawet omówić. Zresztą trzeba je poddać chłodnej weryfikacji, pogłębieniu i rozszerzeniu, a każda analiza wymaga czasu. Stanie się to niewątpliwie na forum publicznym, w każdym zakładzie pracy i instytucji, w organizacjach politycznych i społecznych, a także bezspornie na łamach prasy, w radiu i telewizji. Chcielibyśmy jako tygodnik społeczno-kulturalny także wnieść swój podtytułowany możliwymi wkład w sprawy ogółu, kraju i regionu, którego problemom towarzyszymy od ponad dwudziestu lat. Liczymy przy tym na szerokie współdziałanie przedstawicieli różnych środowisk zawodowych. Jest to niezbędne, niezależne od tego, jak dalece możemy się różnić w ocenach i poglądach, jeśli wyrażonym opiniom, postulatami i refleksjom towarzyszyć będzie intencja społecznej służby.

Dalszy ciąg na str. 2

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

WIDZIANE Z GDAŃSKA

(Korespondencja własna)

W Gdańsku, 1 września 1980 roku wszystko wróciło do normy. Ale to już jest inny Gdańsk. Inna tu atmosfera. Nie ma — jak zwykle jeszcze o tej porze — turystów. Na Dworcu Głównym przed kasami nie ma kolejek. Są za to przed kioskami „Ruchu”. Gazety stały się jednym z najbardziej poszukiwanych artykułów pierwszej potrzeby. Znikają z kiosków w kilkanaście minut po ich dostarczeniu. Ludzie czytają gazety i zawzięcie dyskutują. Wszędzie: w tramwaju, w pracy, na zebraniach, w domu. Sam widziałem, jak młody człowiek, któremu udało się kupić „Wieczór Wybrzeża”, głośno czytał kolegom komunikat o porozumieniu zawartym z górnikami na Śląsku.

Ruszyły stocznie, port, do kraju wyruszyły pierwsze pociągi z towarem. W pierwszych dniach września posiadacze samochodów mieli jeszcze kłopoty z nabyciem benzyny. 3 września 1980 roku rozpoczęła się nauka w szkołach podstawowych w całym województwie gdańskim i elbląskim.

Dalszy ciąg na str. 2 i 3



Foto: Archiwum

MARIUSZ KULESZA, MAREK PAWŁOWSKI

z dziejów BAŁUT

W roku bieżącym obchodzić będziemy dwie znaczne rocznice, dotyczące największej z łódzkich dzielnic — Bałut. Rocznicami tymi są: 550-lecie pierwszej wzmianki o Bałutach, oraz 65-lecie włączenia ich w granice miasta Łodzi.

Mimo że pierwsza historyczna wzmianka o Bałutach pochodzi z roku 1430, ślady występowania osadnictwa na tym obszarze odnoszą się do zamierzchłej przeszłości, do okresu zawartego pomiędzy 4500—1800 r. p.n.e., tj. do młodszej epoki kamienia. Są to nieliczne znaleziska z terenu Julianowa, ślady po grupach ludzkich, zajmujących się gospodarką rolniczo-hodowlaną, a więc prowadzących już osiadły tryb życia. Podobnie nieliczne odkrycia w Julianowie i Marysinie III pochodzą z wczesnej epoki brązu, okresu 1800—1300 r. p.n.e.

Ilość śladów występowania życia osiadłego na obszarze dzisiejszej dzielnicy rośnie w kolejnych okresach —

epoce brązu i wczesnym okresie żelaza. Z okresów tych pochodzą ślady po sporej osadzie odkrytej w Łagiewnikach Małych oraz znaleziony na Teofilowie podczas prac ziemnych skarb ozdób z brązu. Obszar Bałut zamieszkały był również w początkach naszej ery. Świadczy o tym odkrycie dużego cmentarzyska w Rogach (Ma-

rysin III), gdzie znaleziono m.in. dużą ilość narzędzi, broni, ozdób i przedmiotów codziennego użytku. Drobne przedmioty z tego okresu odnaleziono zostały również w Radogoszczu i Łagiewnikach Małych.

Skromnie natomiast udokumentowany jest okres wczesnośredniowiecz-

SKĄD SIĘ BIERZE

Małgorzata Golicka rozmawiała z gronem pracowników naukowych Uniwersytetu Łódzkiego na temat wpływu nauki na świadomość społeczną. Dyskusję tę publikujemy dziś na łamach „Odgłosów”.

ŚWIADOMOŚĆ SPOŁECZNA

Udział w dyskusji wzięli: doc. dr hab. CEZARY JOZEFIAK — kierownik Zakładu Teorii Wzrostu Gospodarczego przy Instytucie Ekonomii Politycznej, prof. dr IAN LUTYŃSKI — kierownik Zakładu Metod i Technik Badań Społecznych przy Instytucie Socjologii, doc. dr BARBARA MEJBAUM — adiunkt w Instytucie Filozofii oraz doc. dr hab. RYSZARD PANASIUK — dyrektor Instytutu Filozofii.

— Proponuję, aby punktem wyjścia dla naszej rozmowy była próba znalezienia odpowiedzi na pytanie: w jaki sposób rozwój badań naukowych i upowszechnienie wyników badań w naukach społecznych wpływa na naszerzej rozumianą świadomość społeczną.

R. Panasiuk: — Myślę, że dyskusja na ten temat dobrze byłoby zacząć od uprzątnienia sobie, iż to, co potocznie nazywamy świadomością społeczną jest niezmiernie złożoną mieszaniną rozmaitych przekonań i idei z których część pochodzi z dalszej lub bliższej przeszłości, część zaś uformowała się pod wpływem wydarzeń, zachodzących zarówno we współczesnej rzeczywistości społecznej, jak i nauce.

Ludzie na ogół żywiąc określone przekonania, co więcej — kierując się nimi w swoim postępowaniu — znajdują w nich rację uzasadniającą określone wybory, w małym tylko stopniu poddają je krytycznej refleksji i rozbiórce. Nie należy się przeto dziwić, że tak często spotykamy w obiegowych poglądach treści popularyzowane przez naukę, obok przeświadczeń irracjonalnych, a nawet zwykłych przesądów.

Jeśli nawet moglibyśmy optymistycznie stwierdzić, że w świadomości współczesnego człowieka zawiera się więcej treści racjonalnych, pochodzących z popularyzowania osiągnięć nauki, niż u jego rodziców i dziadków, marzyłoby się nam, by proces

racjonalizacji świadomości społecznej przebiegał szybciej niż to się faktycznie dzieje, gdyż jest to warunek coraz pełniejszego, świadomego uczestnictwa ludzi w życiu społecznym.

W związku z tym powstaje pytanie, czy za niedostatki w kształtowaniu świadomości społecznej, opartej na nauce, możemy obarczyć winą po prostu popularyzatorów nauki i zarzucić im opieszałość, czy może w samej nauce zawarte są treści, które niechętnie są asymilowane przez ogół?

A może w życiu społecznym, w naszej współczesnej nam formie cywilizacji i kultury tkwią jakieś mechanizmy, hamujące racjonalizację społecznych przekonań i poglądów?

B. Mejbaum: — Warto sobie uświadomić, że przyjmowaniem informacji, w tym także informacji naukowych, kieruje skomplikowany mechanizm psychologiczny zarówno u jednostek, jak i grup społecznych. Zapoznawanie społeczeństwa z naukowymi wyjaśnieniami faktu nie przebiega — jak to sobie często wyobrażamy — na zasadzie relacji: nadawca — nauka i odbiorca: świadomość społeczna. W przyjmowaniu informacji dużą rolę odgrywają emocje i uczucia powiązane z uznawaniem przekonań, przekazywanymi drogą tradycji i uzyskanymi w codziennym doświadczeniu.

J. Lutyński: — Istotne dla naszej dyskusji wydaje mi się wprowadzenie przez niektórych socjologów rozróżnienia między opiniami prywatnymi i oficjalnymi. Rozbieżność między nimi nie jest pożądana, zaś nauka może w pewnym stopniu przyczynić się do jej zmniejszenia. Opinie prywatne to te, które wymieniamy w małych grupach, w kręgu rodziny czy wśród przyjaciół i najbliższych kolegów. Są one zazwyczaj silnie emocjonalnie ugruntowane, między innymi

Dalszy ciąg na str. 4

ny. Pochodzą z niego nieliczne, przypadkowe znaleziska, głównie ułamki naczyń, przy czym najwcześniejsze z nich (fragment naczyńia z VII—VIII w. n.e.) odkryte na terenie Julianowa.

Pokozenie obszaru dzisiejszej Łodzi na trudno dostępnej, pokrytej dużymi kompleksami leśnymi wyżynie było przyczyną stosunkowo powolnego posuwania się fali osadniczej z północy. Fala ta przenikała głównie dolinami rzek Sokołowski i Brzozy — w rezultacie powstały (być może już w XI wieku), Kały i Radogoszcz oraz dolina Bzury, wynikiem czego były osady w Łagiewnikach i Modrzewiu i znacznie później w Rogach. W wieku XIII osadnictwo dotarło do dolin kolejnych rzek — Bałutki i Łódki, nad którymi założono osady Bałuty i Łódź.

Tak więc dzisiejszy obszar dzielnicy stanowił teren najwcześniejszego, stałego osadnictwa w granicach obecnej Łodzi. Chociaż osady te powstały stosunkowo wcześnie, pierwsze wzmianki

pisane dotyczące nich odnoszą się do okresu znacznie późniejszego. Najwcześniejsza z nich dotyczy Radogoszcza — 1242, przykładowo natomiast odnośnie Łodzi pochodzi z roku 1332, zaś Bałut z 1430 roku.

W granicach administracyjnych dzisiejszej dzielnicy znajdował się również załazek dzisiejszej Łodzi, mianowicie wieś Łódź, która w roku 1414 podniesiona została przez biskupów włocławskich do rangi miasta a w roku 1423 otrzymała właściwy przywilej lokacyjny z rąk Władysława Jagielly (obecnie Stare Miasto). Możliwości rozwoju ośrodka, z uwagi na swoje położenie — na słabiej rozwiniętym gospodarczo pograniczu Wielkopolski i Mazowsza — były jednak bardzo ograniczone, toteż miasteczko i tereny przyległe, pełniąc funkcję lokalnego centrum handlowo-usługowego i rzemieślniczego, utrzy-

Dalszy ciąg na str. 10

Należę do tych redaktorów, którzy dość rzadko wypowiadają się bezpośrednio na łamach „własnego” pisma. Może dlatego, że moi współpracownicy i koledzy z zespołu nie unikają trudnych i złożonych tematów. A może dlatego, że w tym, co każdego tygodnia oferujemy czytelnikom „Odgłosów”, jest dostatecznie spora czerpaka osobowości i odpowiedzialności redagującego pismo. Nie zdradzę też tajemnicy, jeśli napiszę kilka słów o naszych wewnętrznych sprawach, bo nie jesteśmy jakąś samodzielną wyspą, wprost przeciwnie...

Nasza praca nie jest łatwa (a komu jest lekko?), a i staramy się czynić wszystko, aby nie ułatwiać sobie życia. Brzydzi nas udawanie i działalność pozorowana, unikamy przed podejmowaniem trudnych tematów i efektywne buszowanie po peryferiach rzeczywistości. Rozumiemy swoją służbę publiczną jako partnerzy odpowiedzialni za powierzony robotę. I ta odpowiedzialność czasami jest kłopotliwym gorsetem, gromi ją ta wewnętrzna, a nie zewnętrzna cenzura... żeby pomóc sprawie, a nie zaszkodzić. Tak samo bardziej boimy się popaść w konflikt nie z władzą, ale z własnym sumieniem; gotowi jesteśmy podjąć każde ryzyko, by nie utracić wiarygodności.

W tych gorących dniach każdy z nas, stanowiących w sumie zespół, musieliśmy przede wszystkim samemu sobie odpowiedzieć na wiele pytań. Jak jak wszyscy, ale było to o wiele trudniejsze, że działamy przecież na forum publicznym i nasze osobiste racje nie zawsze muszą iść w parze z interesem nadzwanym. Podczas jednej z dyskusji stwierdziliśmy bardziej z ulgą, niż z satysfakcją, że gdyby ktoś wymagał od nas samych oceny naszego pisma w ostatnich latach, miesiącach, tygodniach, niczego nie musimy byśmy odwoływać, wstydić się za popelnioną nieuczciwość lub zafaszerowanie. Nie oznacza to oczywiście, że jesteśmy tak bardzo za dowoleni z naszych dokonań, bo przecież mamy świadomość, że to i owo zostało przez nas przemilczane czy potraktowane powierzchownie, że czasami własnoręcznie zakreślaliśmy granice kompromisu przesuwaliśmy się za daleko.

Tu zmierzam do odskoczenia od własnego podwórka, chociaż chcę pozostać na polu „publikatorów”. Czytam, na ile to możliwe, większość czasopism i gazet i uświadamiam sobie prawdę już teraz oczywistą, jaką jest stwierdzenie, że, generalnie biorąc, środowisko dziennikarskie wspomaga przez ludzi nauki i kultury, działaczy czy nawet czytelników doradnie chwytających za pióro, spełniając swoją rolę przekazywania nastrojów, sądów i opinii społecznych. Jest to jednak bardziej moralne alibi niż powód do satysfakcji, gdyż rola ta nie była skuteczna. To znaczy, że decyzje życia politycznego i gospodarczego nie wyciągnęły dostatecznie wcześniej wniosków z zarysów budzących się wyraźnie obrazu sytuacji w kraju. Mógłbym tu tym miejscu przytoczyć wiele niezbitych dowodów zwłaszcza z okresu dyskusji przed VIII Zjazdem partii, z łamów „Polityki”, „Życia i Kultury”, „Literatury”, „Życia Gospodarczego”, „Innowacji”, niektórych periodyków „regionalnych”. Rzecz jednak nie w przypominaniu, „a nie mówiliśmy” bo mówili także robotnicy na zebraniach partyjnych, KSR, działacze podczas narad na różnych sekcjach, z najwyższymi władzami. Te wszystkie głosy przestrogi, sady i opinie (czasami zbyt nieśmiało czy cząstkowo), znalazły dopiero protestu wsparcie siłą i determinacją robotniczego protestu. Dopiero wtedy przestaliśmy kluczyć i odrzucać, enigmatycznie i słowno-liczmiem, nazywając rzeczy po imieniu. Bolesna to świadomość, że do tego musieliśmy dojść, acz jednocześnie krępująca, że doszło TYLKO do tego.

Tu muszę się odwołać do przeszłości. Należę do generacji ZMP-owskiej, dla której ideały „wzrostu stały się własnymi do końca i bez reszty”. Dwuczesny tryb wychowania wpoił w nas trochę naukę, acz szlachetną wiarę m.in. w myślenie wprost możliwości nowego ustroju, w samistną pomysłowość społeczeństwa wyzwolonego z uroku kapitału, państwa stworzonego przez klasę robotniczą i jej partię. Chyba nie zdawaliśmy sobie sprawy, nie tylko my, młodzi, ale i starsze pokolenie, że rewolucja, zdobycie i utrwalenie władzy ludowej, to dopiero kamień milowy, początek drogi. Historia, aczkolwiek nie bez ofiar, pomogła nam w tym dziele, którego granic nie da się określić horyzontem czasowym. I tak samo przekonała nas, że to dzieło musi nas kosztować tak wiele walki, pracy i ofiar, że towarzyszyć nam będą wiozoty i upadki, groźne zakrety. Myślę, że nie ośmiłoby to naszej wiary w socjalizm, lecz uczyniło ją bardziej realistyczną, zwycięską, świadomą rzeczywistych możliwości. To nie może być pomniejszeniem i nie jest.

PO IMIENIU

I nie stanie się nic złego, a wprost przeciwnie, jeśli romantyczną wizję socjalizmu zastąpimy koncepcją pragmatyczną. Zresztą zmusza nas do tego życie. Dochodzimy więc do dwóch przeraźliwie banalnych prawd: że socjalizm sam się nie buduje, a sami musimy go stworzyć, i że jest to cholernie trudne, złożone i skomplikowane zadanie, że nie jest nam łatwo teraz i będzie trudno w latach następnych. Okrutne banaty, ale co na to poradzić kiedy to prawda, o której ani przez chwilę nie można zapomnieć. Czy to zresztą tylko nasza prawda? A świat, który czyni rozpacze wysiłki i to z miernymi skutkami, aby uzyskać taką taką sterowność. Kiedyś pisałem, że „Polska nie jest jakąś spokojną, wyłączonej enklawą świata”. I nie może być, bo nie można uciec przed komplikacjami, jakie niesie współczesna dynamika przemian i rozwoju. Można i trzeba by tylko ograniczać i zwycięstwo zmierzwić się z nimi. A więc twardo walcz o przetrwanie i lepszą przyszłość.

Może nam w tym ogromnie pomóc nazywanie rzeczy po imieniu i bezwzględne przestrzeganie kanonu zasad, którego tu nie wymienię, bo i za to wcześniej i nie wszystko jeszcze przemysłane. Ale kilka refleksji o różnym stopniu ważności cisnąć się pod pióro. I nie są to myśli ku pokrzepieniu serc, ale sądzę, że wynikają z nowych realiów, które ukształtowały się w niemałym trudzie i kosztach tak wiele.

Myślę, że ostatnie wydarzenia nauczyły nas przede wszystkim realizmu. Udowodnił nam świat i komu trzeba w kraju, że w Polsce nie ma alternatywy dla socjalizmu, roli i miejsca Polski w Europie, że odpowiedzialność za losy kraju twardo dzierży klasa robotnicza i jej kierownictwo — partia. Partia nasza, moja partia, popchnęła czy dopuściła do powstania znanych błędów, ale podjęła dzieło naprawy, m.in. poprzez samokrytyczną ocenę. W tym jest siła i wielkość partii, miara jej służebności wobec narodu i ranga odpowiedzialności

ści za jego przyszłość. To stwierdzenie ogólne, bo odpowiedzialność partii i każdego jej członka to oddzielny, złożony problem, który jest sensem codziennego funkcjonowania każdego partyjnego ogniwka.

Dziś można stwierdzić z pewnością, że dokonany w partii zwrot nie dotyczył pryncypiów, że nikt nie kwestionował słuszności celów strategicznych, że to, co nie wyszło, dotyczyło praktyki działania. Nie chciałbym pomniejszać błędów, które doprowadziły do kryzysu zaufania władza — społeczeństwo, do ograniczenia lub zdeformowania funkcji różnych struktur społecznych, jak np. działalność związków zawodowych, rad narodowych, z Sejmem włącznie. Ponieśliśmy też niemałe straty z tego tytułu i lepiej byłoby nie użyć się na błędach. Ale nieprawdą byłoby twierdzić — pomijając, że w minionie dekadzie jako kraj poszliśmy daleko do przodu — że z tych strat i błędów nie będzie zysków w przyszłości. Będą na pewno, mimo że zbyt wysoko opłacone, jeśli wszyscy zachowamy czujność i trwałą pamięć. Tak też uczy historia, która się nie powtarza.

Jeszcze kilka spraw, by powrócić do tytułu tych rozważań. Przez całe lata opierałem się jak mogłem tzw. propagandzie sukcesu, lansowanej zwłaszcza przez telewizję. A były przecież sukcesy, które grały serca i taskowały dumę narodową. I dawaliśmy na tych łamach wielokrotnie temu wyraz. Ale nadgorliwcy, huraoptymiści, jakby wbrew zamierzeniom i logice, pomniejszali sprawę: że to tak łatwo przyszło, a schowali głowy w piasek, kiedy zaczęły się pojawiać rysy i pęknięcia. A co gorsza, umawiano tym samym społeczeństwu, że mamy niemal nieograniczone możliwości, rozbudzając nastroje konsumpcyjne i zaspokajając apetyty. Za sztuczną euforią trzeba było później zapłacić. Manewr gospodarczy w połowie lat siedemdziesiątych, jeśli nie podjęty za późno, nie został konsekwentnie przeprowadzony. I nie dokonaliśmy wtedy do końca pełnego rachunku sumienia. Nie powiedzieliśmy narodowi całej prawdy. Teraz okazuje się, że cała i pełna prawda jest nie tylko niezbędna, jak ileś dla organizmu, ale jest wielką, nieznajomą zastępną, siłą sprzącą. To ważna nauka. Potrzeba nam nowoczesnej technologii, urządzeń, maszyn, surowców, energii, ale o naszym sukcesie zdecydować przede wszystkim jednostki narodowego ducha, jego siły moralnej, wzajemne zaufanie, zrozumienie dziejowej konieczności czy nawet poświęcenie w imię wielkich celów.

Przeszedłem z inżynierskiej profesji do dziennikarstwa i wiem, jak ważną sprawą jest organizacja pracy, odpowiednie struktury zarządzania, ekonomiczne regulatory, reformy i usprawnienia. Nadal jest to sprawa aktualna, z przemodelowaniem całych struktur włącznie. Ale nie tudźmy się, że uda nam się opracować jakieś idealne systemy, które w cudowny sposób będą się samoregulować i oszczędzać nam kłopotów. Nie udało się za sztuką najbardziej rozwiniętym krajom kapitalistycznym, nie uda i nam, mimo iż według naszych przesłanek systemowych wiele problemów społecznych łatwiej nam będzie rozwiązać. Dziś jednak nie mam złudzeń, a taka świadomość może się stać nieocenionym kapitałem, że tylko i wyłącznie ludzie decydują o swoim dobrym lub złym losie. Chcemy tego dobrego losu i żeby go ukształtować na miarę potrzeb i ambicji, musimy autentycznie chcieć i móc. A te dwa warunki zagwarantować musimy w jednoci słów i czynów. Muszą nas w tym wspomagać prawidłowo ustawione i strzeżone na co dzień relacje między społeczeństwem a służbą mu, ale przy tym silną, sprawną i odpowiedzialną władzą. Zdaliśmy egzamin jako całe społeczeństwo, teraz każdy musi zdać go jako pojedynczy człowiek ze swoim warsztatem, biurkiem w urzędzie, w domu rodzinnym.

JERZY WAWRZAK

„Dziś jeszcze dość trudno jest ogarnąć całość procesu, którego jesteśmy uczestnikami i świadkami, a tym bardziej przewidzieć wszystkie jego skutki i konsekwencje, a nawet najbliższe fazy. Trwa on bowiem jeszcze, ma swoje przesilenia i powikłania, choć wyraźnie kieruje się ku racjonalnemu rozwiązaniu nabrzmiałych problemów społeczno-gospodarczych i usunięciu niedomagań w życiu społeczno-politycznym.”

4 września obradowało Prezydium Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych w Gdańsku. W przyjętym postanowieniu stwierdza się między innymi, że „tylko działaniem i jego rezultatami można przywrócić przekonanie, że związki zawodowe są autonomiczną i samorządną organizacją ludzi pracy, autentycznym reprezentantem ich interesów”.

I jeszcze kilka zdań z tego postanowienia, bo oddają one istotę tocących się dyskusji:

„Zgodnie z duchem porozumienia, zawartego w Gdańsku w dniu 31 sierpnia br., każdy ma prawo do swobodnego wyboru przynależności związkowej. Chodzi jednak o to, by była to decyzja świadoma, wywołana nie nastrojem chwili, lecz głębokim przemyśleniem proponowanych przez nowe i dotychczasowe związki statutów programów, a także celów i środków działania.”

Wszystkim bowiem chodzi o jedno, o taki rozwój socjalistycznej demokracji, aby mógł się liczyć głos każdego, każda krytyczna uwaga mogła być należycie rozważona, aby nie trzeba było w przyszłości uciekać się do ostateczności — do strajku, choć prawo do strajku będzie ustawowo zagwarantowane.

Różne są sposoby gwarancji, aby takie sytuacje się nie powtórzyły. W Szczecinie na przykład postanowiono powołać mieszaną komisję rządowo-robotniczą, która będzie czuwała nad realizacją postanowień przyjętych w porozumieniu, jakie zawarto z tamtejszym międzyzakładowym komiteem strajkowym. W Gdańsku taką gwarancją ma być działanie nowych, samorządnych związków zawodowych. Ale sprawa nie wydaje się taka prosta. Musimy się bowiem wszyscy nauczyć liczenia się z argumentami, z opinią publiczną, nawet wtedy gdy te argumenty i ta opinia nie będzie w zgodzie z poglądami wyrażanymi oficjalnie. Rację — jak to pokazała praktyka ostatnich tygodni — ma nie tylko ten, kto podejmuje decyzję, kto piastuje jakieś stanowisko i za kim stoi autorytet urzędu czy instytucji, ale rację mają również ci, którzy już w Polsce Ludowej nauczyli się myśleć, i dla których socjalizm oznacza również prawo do ich odpowiedzialności za rezultaty ich pracy.

Wiele się u nas mówiło o odpowiedzialności. Ale odpowiedzialność można różnie rozumieć. Na przykład jako

TYDZIEŃ W POLITYCE

Politycy i środki masowego przekazu wciąż poświęcają Polsce wiele uwagi. Polityczne rozwiązywanie konfliktu ze strajkującymi na Wybrzeżu i w innych częściach kraju, debata sejmowa nad exposé premiera, w którym przedstawiony został zespół działań, zmierzających do realizacji zgłoszonych postulatów, obrady VI Plenum KC, na którym wobec choroby Edwarda Gierka dokonano wyboru nowego I sekretarza w osobie Stanisława Kani — wszystko to żywo komentowane jest przez naszych przyjaciół, ale także inne stolice europejskie i pozaeuropejskie.

Wobec wydarzeń ostatnich tygodni w Polsce mamy jednoznaczny wykładnik: robotnicy strajkami wyrazili swoje niezadowolenie ze wzrostu kosztów utrzymania i stanu zapasów, niezrealizowania w porę ich wniosków i postulatów z kampanii przed VIII Zjazdem PZPR i kampanii przedwyborczej. Był to więc protest przeciwko błędom i zaniedbanom w realizacji polityki gospodarczej i społecznej. Ale ten fakt niezadowolenia próbowały wykorzystywać w celach politycznych dla siebie siły antysocjalistyczne, które zwłaszcza w Gdańsku włączyły się w nurt strajkowy.

Tak brzmieją prawdy nie rozumieją bądź nie chcą zrozumieć niektóre rozłośnie zachodnie czy też dzienniki i czasopisma. Podczas, gdy większość z nich wyraża zadowolenie z drogi rozwiązania konfliktu poprzez rozsądne porozumienie między strajkującymi a władzą i służbą odczytuje ich treść. Inne: podkładają pod nie zupełnie coś innego

go i snują nieprawdopodobne wizje. Oczywiście takie, jakie śnią się przeciwnikom socjalizmu. Te koła polityczne, bo przecież prasa jest odbiciem ich intencji, chcą wykorzystać wydarzenia w Polsce do utrzymania napięcia w stosunkach międzynarodowych i osłabienia pozycji wspólnoty socjalistycznej.

Jak wiadomo, w RFN i USA trwają kampanie wyborcze, w pierwszym przypadku do Bundestagu, w drugim — do Białego Domu. I Schmidt i Strauss, i Carter i Reagan odnieśli się we fragmentach swoich wystąpień do wydarzeń w Polsce. W różny sposób. Schmidt na przykład oświadczył, że przyjął porozumienie z wielką ulgą, Strauss natomiast gotów jest stawiać Polsce warunki.

Nasz kraj, trzeba to raz jeszcze powtórzyć, jest ważnym czynnikiem stabilizacji pokoju na europejskim kontynencie. Szeroko w świecie znane są polskie inicjatywy pokojowe i działania, mające na celu zapewnienie wszystkim narodom bezpieczeństwa. Komu więc może zależeć na podważeniu tej pozycji Polski? Odpowiedź jest jednoznaczna: tym, którzy odrzucają odprężenie międzynarodowe i chcą dalszego jego rozwoju położyć tamę.

Złożoność we współczesnym świecie sprawiała, że polityka zagraniczna w toczących się kampaniach wyborczych odgrywa poważną rolę. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Kandydaci na prezydenta: Carter, Reagan i Anderson chętnie na ten temat zabierają głos, przedstawiając różne wizje świata. Gorzej, że liczą się pod względem zapewnienia drogi „narodowego bezpieczeństwa”, czyli mówiąc po prostu kosztów zbrojeń. Nawijając do tego wątku komentator Reutersa przypomina

wprawdzie, że deklaracjom przedwyborczym wierzyć nie można i egzemplifikuje to następująco: w 1968 roku R. Nixon wybrany został w dużym stopniu dlatego, że przedstawiał się jako zdecydowany przeciwnik komunizmu, jednakże kiedy zasiadł w Białym Domu zapoczątkował odprężenie z ZSRR, natomiast J. Carter w 1976 r. obiecał wypracować redukcję budżetu wojskowego o 6-7 mld dolarów rocznie, natomiast teraz przechwala się, że w ciągu ostatnich trzech lat zwiększył wydatki na cele militarne o 10 proc. już po względniemu wskaźnika inflacji.

Czy jednak z tych przykładów można wyciągnąć wniosek, że nie jest ważne, co głoszą kandydaci na prezydenta? Niestety — nie. W rzeczywistości bowiem i Carter i Reagan są rzecznikami twardego kursu polityki amerykańskiej. W większym stopniu ten ostatni, którego wybór jak się przypuszcza, oznaczałby więcej konfrontacji i mniej odprężenia w stosunkach ze Wschodem, więcej wydatków na zbrojenia i mniej negocjacji. Komentatorzy zachodni, dokonując analizy przemówień Reagana stwierdzają, że widoczna jest u niego nostalgia za okresem niekwestionowanej przewagi USA.

Włączyliśmy ten temat do przeglądu aktualności międzynarodowych przede wszystkim dlatego, że i w RFN i USA kampanie wyborcze nabierają rozmachu, a dla procesu odprężenia nie jest obojętne, kto będzie prezydentem Stanów Zjednoczonych i kanclesem w Republice Federalnej Niemiec. A właśnie w minionym tygodniu wszyscy czołowi kandydaci w obu krajach zabrali głos, bardziej jeszcze odkrywając karty.

W. SŁAWSKI

Jeszcze niedawno występował w telewizji. Mówił o recepcji beletrysty poświęconej Łodzi, mówił o mieście, któremu sam poświęcił swoje życie.

Był właściwie pionierem. Nie brak wprawdzie książek poświęconych burzliwym dziejom Łodzi, ale dopiero „Dzieje wielkiej kariery” ujęły problem tak szeroko, od początków osady nad Łódką po dni poprzedzające wybuch powstania styczniowego. Była to pozycja, która zwróciła uwagę opinii publicznej na nasze miasto, rozpoczynając dyskusję o jego dziejach, tak niesprawiedliwie do tej pory przemilczanych i uprzedzonych. Za książkę tę, która bez przesady można wymienić jednym tchem obok nieocenionej monografii Oskara Flafla „Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym”, otrzymał nagrodę miasta. Trzeba było przebrnąć dziesiątki źródeł, przetrząsnąć przez archiwalia, sprawdzić tysiące danych, aby zamknąć je w plastyczny obraz życia codziennego, oddając klimat miasta i zwyczaj jego mieszkańców. I tę benedyktyńską pracę Henryk Dinter wykonał zawstydzając: utytułowanych historyków. Łączył

HENRYK STANISŁAW DINTER

bowiem w swojej pracy ołok kolosalnej wiedzy, dar narracji, ciekawego opowiadania o z pozoru banalnych sprawach, które usystematyzowane tłumaczyły dokonujące się na przestrzeni setek lat procesy dziejowe i społeczne.

Ten dar spożytkował z powodzeniem w swoim zbeletryzowanym pamiętniku z powstania warszawskiego. Był bowiem nie tylko rzetelnym badaczem i popularyzatorem wiedzy, był także, a może przede wszystkim, pisarzem nie pozbawionym artystycznych ambicji.

Za to, co robił, nie spodziewał się zapłaty, a jednak jego imię przejdzie do historii. Potwierdziła to jego kolejna książka, także poświęcona Łodzi „Spód łódzkiej dymów”, stanowiąca ciąg dalszy „Dziej wielkiej kariery”. Zamknął w niej narrację o losach miasta, które tak ukończył, po dni niemal ostatnie.

Dziś, kiedy Go zabrakło, musimy z jeszcze większym szacunkiem spojrzeć na tak skromny ilościowo, a tak ważki dorobek. Nie zapomnijmy, że to czego dokonał ten skromny doktor historii, wyszło spod pióra jednego człowieka, którego pasja przeżyły wszystkie przeszkody i sprawiła, że samodzielnie, niemal samotnie, dokonał dzieła, jakiego do tej pory nie potrafiły stworzyć całe zespoły specjalistów. Wymagało to na pewno odwagi i samozaparcia, które znalazł w sobie.

Zegnamy Go dziś z największym żalem. Zostawił po sobie niedokończoną pracę poświęconą Łodzi, którą już nigdy nie zamknie się w książkę. Ale chce się wierzyć, że jego przykład zachęci innych, młodszych, którzy z równym samozaparciem i odwagą podejmą jego trud.

K. F.

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (z-cy redaktora naczelnego), JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI KONRAD FREIDLICH MAŁGORZATA GOŁICKA, JACEK INDEKAR EUGENIUSZ IWANICKI RYSZARD LUCYSZYN (futureporter) BOGDAN MADEJ ANDRZEJ MAKOWIŃSKI JERZY RYMOWSKI TOMASZ SÖLDNERHOFF GRZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny) Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAHER PAŃCISZ BIAŁEJEWSKI TADEUSZ CHROŚCIEJEWSKI GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJEWSKI MARIA KĘPINSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI ZBIGNIEW S. NOWAK EWA NURCZYŃSKA WŁADYSŁAW ORŁOWSKI JERZY PANASIEWICZ EWA PAN-KIEWICZ KRZYSZTOF POGORZELC WITOLD SŁAWSKI TADEUSZ SZCZEPANIŚ JANUSZ SZYMANSKI GLANC JERZY WILMAŃSKI

WIDZIANE Z GDAŃSKA

(KORESPONDENCJA WŁASNA)

odpowiedzialne, bo postulatne wykonywanie decyzji podjętych bez konsultacji z tymi, którzy te decyzje mają wykonywać. W czasie trudnych, a chwilami dramatycznych dyskusji komisji rządowej z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym w Gdańsku, jeden z członków tego komitetu mówił o marnotrawstwie panującym w budownictwie. Fabryki domów w Gdyni i Gdańsku nie osiągały swojej planowanej mocy produkcyjnej. Fabryka domów w Kokoszkach koło Gdańska otrzymywała cement z kilkunastu cementowni różnej jakości, co powodowało straty, w Trójmieście jest szczególnie trudna sytuacja mieszkaniowa, choć nam się w głębi kraju wydawało, że Trójmiasto jest sporym „zagłębiem budowlanym”, gdzie wśród wznoszonych domów można dostrzec interesujące rozwiązania architektoniczne. Myślano tu nawet o potrzebie wybudowania trzeciej fabryki domów. Tymczasem budowlani wielokrotnie sygnalizowali kłopoty z cementem, z wykorzystaniem posiadanych możliwości produkcyjnych. I nikt ich racji nie brał pod uwagę. Nikt ich nie słuchał. To najbardziej denerwowało. A to też był przykład odpowiedzialności.

Albo inny przykład. W Gdańsku — jak już wspominałem — jest szczególnie trudna sytuacja mieszkaniowa. Publicysta „Głosu Wybrzeża” podjął się więc żmudnej pracy wynalezienia tak zwanych podwójnych mieszkań. Władzom powołał, że takie są. I nie tylko w Trójmieście. Znalazł on i wykazał w publikacjach na łamach „Głosu Wybrzeża” 300 podwójnych mieszkań. Wydawało się, że zyska dogonną wdzięczność władz miasta. Poradzono mu jednak, aby zajął się innymi sprawami. Władzom przecież, że wiele było takich tematów, którymi lepiej było się nie zajmować. A właśnie zajmowanie się nimi wynikało z dobrej pojętej odpowiedzialności.

Nowoczesna gospodarka wymaga szybko podejmowanych decyzji. Socjalistyczna demokracja wymaga, aby takie decyzje były konsultowane, aby ich wykonawcy mieli pełną świadomość celu i środków, jakimi posłużą się przy ich realizacji. Konsultowanie zamierzonych decyzji opóźnia ich podejmowanie, wymaga bowiem czasu na przemyślenie i przedyskutowanie. O ile łatwiej podejmować decyzje bez takich opóźnień, albo używając tylko formalne ich konsultowanie, wyrażające się mechanicznym potwierdzeniem ich słuszności, bez niezbędnego czasu na przemyślenie. A to rodzi przekonanie o narzucaniu decyzji, o nieomyślności decydujących i w takiej atmosferze pracuje się gorzej, mniej wydajnie. I nie o to nam chodzi.

Od kilkunastu dni już jestem na Wybrzeżu i zupełnie nie wiedziałem, co się w tym czasie dzieło w Gdańsku. Robotnicy innych ośrodków przemysłowych kraju także solidaryzowali się z robotnikami Wybrzeża. Zresztą tu, w Gdańsku, ci którzy pracowali, jak na przykład piekarze, handlowcy, służba zdrowia, też solidaryzowali się ze strajkującymi. Mieli swoich przedstawicieli w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym, a pracowali dlatego, aby w Trójmieście nie zamarło całkowicie życie, bo było to konieczne. Załoga rafinerii w Gdańsku dostarczała paliwo do piekarni, szpitali, dla pogotowia ratunkowego, i tym wszystkim, którym poruszanie się samochodami było potrzebne dla wykonywania ich niezbędnych obowiązków służbowych.

Wiele już napisano o rozsądku i dyscyplinie strajkujących robotników Wybrzeża. Warto może jeszcze podkreślić, że w tych trudnych dniach całe społeczeństwo Wybrzeża wykazało wysokie poczucie odpowiedzialności.

ności, zdyscyplinowania, a także solidarności. Ludzie pomagali sobie wzajemnie. Nie zdarzyły się żadne rabunki, czy inne wykroczenia. Tylko kilkakrotnie miejscowi pijacy próbowali włamać się do sklepów z wódką, jako że tu od 18 sierpnia obowiązywał zakaz sprzedaży napojów alkoholowych. Ale im się i to nie udało.

Z niepokojem oczekiwałem na wieści z Łodzi. Gdańszczanie, mieszkańcy Gdyni, Sopotu i województwa gdańskiego słuchali tymczasem na falach ultrakrótkich pełnych relacji z dyskusji toczących się na posiedzeniach komisji rządowej z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym. Wszystkie lokalne rozgłoszenie — jak wiadomo — pracują na falach ultrakrótkich i zasięg ich nie jest wielki. Podobnie zasięg lokalnej prasy. A był to czas, kiedy panował powszechny głód informacji, kiedy nakłady gazet okazały się daleko niewystarczające, bo, że są niewystarczające to

wiemy od dawna. Myśle, że i system działania prasy, radia i telewizji, jaki obecnie u nas funkcjonuje, też wymaga spokojnej i rzeczowej dyskusji.

Nie od dziś wiadomo, że aby móc dyskutować, czuć się partnerem w takich dyskusjach, trzeba wiedzieć. Nie może być partnerstwa w żadnym dialogu tam, gdzie jedna strona więcej i słabiej przekonania, że wie lepiej. Takie stanowisko w rozmowach ze strajkującymi robotnikami reprezentowali między innymi Tadeusz Pyka. Nie sprzyjało to spodziewanych rezultatów. Miejsce Tadeusza Pyki zajął wicepremier Mięczyński Jagielski. Zdobył on sobie w Trójmieście powszechne uznanie, sympatię i szacunek. Podszedł do rozmów z przedstawicielami MKS z całą powagą, szczerością i bezpośredniością. Wózący go w Gdańsku kierowca wyraził żal, że wicepremier M. Jagielski „tak rzadko przyjeżdżał do nas”. Na co wicepremier Jagielski odpowiedział, że nie ilość się liczy, ale to, co się właściwie załatwia. To

był trudny dialog nie dlatego, że mówiono o trudnych sprawach, że różny był pogląd na omawiane sprawy, że obie „układające się strony” ustępowały sobie nawzajem, aby dojść do porozumienia. Trudność tego dialogu polegała zupełnie na czym innym. Polegała ona na tym, że dopiero uczono się takiego dialogu, w którym liczyły się nie reprezentowane przez układających się stanowiska i funkcje, a argumenty. Rację miał ten, czyje argumenty były bardziej przekonujące.

Rozmowy, jakie odbyły się w Stoczni Gdańskiej są już historią. Czegoś jednak w tej najnowszej historii wszyscy się nauczyliśmy. Teraz chodzi o to, aby nie zapomnieć tej lekcji, aby wyciągnąć z niej właściwe wnioski.

1 września 1980 roku przed kamerami gdańskiej telewizji wystąpił przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej, I sekretarz KW PZPR w Gdańsku, Tadeusz Fiszbach, który powiedział między innymi:

„Nowa sytuacja stwarza konieczność zmiany stylu i metod pracy. Należy postawić pytanie, czy jesteśmy przygotowani do działania w nowych warunkach, czy potrafimy wyzbyć się nawyków, które ograniczały skuteczność naszej pracy w minionych okresach, czy potrafimy rozwinąć motywację słuszności naszych działań.

Jestem przekonany i opieram to na licznych przykładach woli działania ludzi, że do podjęcia tych zadań jesteśmy przygotowani. Opieram to stwierdzenie na znajomości postaw aktywnych, którzy w tych trudnych dniach boleśnie przeżywając istotę przejaw konfliktu, wiernie stali na pozycjach naszych narodowych i ustrojowych racji, a jednocześnie uczestniczyli w wydarzeniach, choć zadania tego nie ułatwiała im zmniejszone zaufanie społeczeństwa.”

Na Wybrzeżu wszystko wróciło do normy. Pracuje się normalnie, a może nawet lepiej niż przedtem, co wcale nie znaczy, że lepiej. Trudniej nawet, bo trzeba odróżnić powstałe w czasie strajku zaległości. I chociaż wszyscy tu zdają sobie sprawę z czekających nas trudności, to przecież czują, że pracuje im się lepiej, bo w przełamaniu tych trudności liczyć się teraz będzie ich zdanie. I to jest najistotniejszy czynnik nowej atmosfery, jaka zapanowała nie tylko w Gdańsku.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Gdańsk, 5 września 1980 roku.



LISTY DO REDAKCJI

Należę do tych, którym nie jest wszystko jedno, w jakim języku będzie się mówiło na tej ziemi za lat trzysta, jakie szlanki będzie się nosiło i na jakie święta.

Być może sformułowanie powyższe jest naiwne, ale dość dobrze odzwierciedla stan, który czasem samokrytycznie nazywam — stanem patriotycznej bigocji.

Zanim zdecydowałem się złożyć następną osobistą deklarację, zajrzałem do encyklopedii pod hasło — socjalizm: „głosi program zniesienia stosunków społecznych opartych na prywatnym władaniu środkami produkcji oraz postuluje budowanie ustroju społ. w którym społ. (całkowicie lub częściowo) własność podstawowych środków produkcji, oddanie ich pod kontrolę społeczeństwa i wykorzystanie w celu racjonalnego zaspokojenia jego potrzeb stanowiące ekon. podstawę zniesienia podziałów klasowych i wyzysku człowieka przez człowieka, a zarazem zasadniczą przesłanką przemian prowadzących do realizacji zasad sprawiedliwości i równości społecznej”.

Mimo pewnych gramatycznych niejasności w tekście żywym przepisany z encyklopedii program mi odpowiada i podpisuję się pod nim. Wprawdzie trzydzieści cztery lata temu, optując za przemianami gospodarczymi i granicą na Odrze i Nysie, jednocześnie niechętnie ustosunkowany byłam do jednolitości parlamentu. Wyrażało się to w zamalowywaniu napisów „Trzy razy tak” i zastępowaniu ich innymi: „Dwa razy tak, raz nie”. Mój Boże, jakie odległe to czasy. Dziś już nie umiałbym nawet powiedzieć, dlaczego tak

mi zależało na tej drugiej izbie. W końcu jakoś parlamentu zależy od zasiadających w nim ludzi, a nie od ilości izb. Zrozumiałem to dość dawno temu. W ogóle nikt z nas nie zdaje sobie sprawy, jak wraz z realiami życia codziennego zmienia nam się mentalność, sposób myślenia, jak porzucamy się punkty ciężkości spraw ważniejszych i mniej ważnych. Cóż dziwnego, byt określa świadomość. Nawet najbardziej broniąc się przed marksistowskim widzeniem

Siła jest bowiem wówczas wartościową, kiedy znane są wszystkie jej warunki dodatnie jak i ujemne skutki.

W jednej z migawek telewizyjnych usłyszałem wypowiedź: „Nie o nas bez nas” — i przebiegli mnie nagły deszcz. Tak brzmiało bowiem sformułowanie jednego ze szlachetnych przywódców. Być może pewna bezwładność myślenia przypominała mi natychmiast inne słowa — liberum veto. Tak, liberum veto — strażnik

kraju z kryzysu tylko poprzez stworzenie nowych związków zawodowych i prawa do strajku. Jestem przekonany, że zdaje sobie z tego sprawę większość załóg, które strajkowały, jak i w ogóle przytłaczająca większość społeczeństwa. Chodzi o to, aby nie stracić tej świadomości. Chodzi o to, aby ogromny wstrząs, który przeżył chyba każdy z nas, nie poszedł w zapomnienie i aby tych najpoważniejszych, strajkowych argumentów używać wyłącznie dla dobra publicznego.

cenę uruchomić, aby w domu było weselej. Jest to argument niesłychanie mocny, ale i niebezpieczny. Trzeba nauczyć się nim posługiwać, aby nie wpędzić kraju w jeszcze głębszy kryzys. Już sama potencjalna możliwość strajku jest dostatecznie silnym argumentem. Ważne jest, aby świadomość swobód obywatelskich nie uderzyła ludziom do głowy. Pozwolimy rządowi rządzić, dołożymy wszelkich starań, aby przywrócone zostało zaufanie robotników do personelu technicznego i odwrotnie. Nie liczymy, że stanie się lepiej z dnia na dzień, zmiany w strukturze zarządzania gospodarką wprowadzamy z głębokim namysłem, tak, aby na pewno było lepiej, a nie tylko inaczej. Polska nie może być chylącym się ku upadkowi krajem bogatych ludzi. Płyniemy wszyscy na jednym okręcie. Istnieje w żeglarskim zawołaniu, kiedy jest bardzo źle: wszystkie ręce na pokład! Może jeszcze nie czas na tak dramatyczne okrzyki, ale na pewno czas na to, abyśmy uporządkowali naszą gospodarkę i aby nie stała się ona muzeum nowoczesnej techniki, co łatwo może nastąpić, jeżeli nie uruchomimy wszystkiego tego, cośmy w ostatnich latach nasprawdzali w zawrotnym tempie i co — jeśli nie zostanie uruchomione — stanie się drwiną ze zdrowego rozsądku, jako że, aby to kupić, dosłownie odejmowaliśmy sobie od ust. Nie neguję, że drobne ludzkie sprawy powinny zostać załatwione, ale, na Boga, nie strzelajmy z armat do komarów na ścianach, bo się chałupa zawali. Wygląda na to, że ludzie boją się, aby o nich nie zapomniano w tym ogólnopolskim podziale

majątku narodowego, którego, jak na razie, do podziału nie ma. Postulaty podwyżek, chęć dostateczniejszego życia sama w sobie nie jest zbrodnia — ale za co to?

Na tej maszynie nie napisalem jeszcze dwustu stron, a już ma defekty, obok stoi radio ze znakiem jakości, które nie posiadało — jako że powinno — zakresu fal średnich.

Powiedzmy, że przez pewien czas jeszcze większość ludzi będzie lepiej pracowała niż w latach poprzednich tylko dlatego, że po sierpniowym wstrząsie wyszła na powierzchnię zwykła ludzka moralność, nie mniej jeśli nie przeprowadzimy takich reform, aby za dobrą pracę płacono dobrze, a za złą źle, nigdy się niczego nie dorobimy; należy bardzo uważać, aby ludzie źle pracujący, nadużywający zwiększonych swobód demokratycznych, nam w tym nie przeszkadzali. Ktoś musi nad tym czuwać i to od zaraz. Dziś ze wszystkich stron wyciągają się do nas mocne ręce, aby przyczynić się do wyjścia z impasu — sądzę, że jest to wielka nasza szansa. Jeśli jej nie wykorzystamy, Polska stanie się żebrakiem Europy, albo i świata.

Pamiętajmy jedno. Nikomu nie wolno robić z ojczyzny prywatnego folwarku dla siebie i swojej rodziny.

Pracując źle, żądając coraz więcej, możemy zahamować proces odnowy, możemy roztrwonić majątek narodowy.

Nie oddawajmy ojczyznę na łecytację.

ANDRZEJ WILCZKOWSKI

ODGŁOSY 3

PATRIOTYZM TO NIE TYLKO SŁOWO

świata, w końcu należy uznać słuszność tej filozofii. Ostatnio na przykład przyjąłem już bez żadnych wahań tezę o wiodącej roli klasy robotniczej.

Porzucając hucie nieco ironicznej zadumy nad własną osobowością chciałbym, aby w dalszych moich rozważaniach zadźwięczała nuta pewnego niepokoju.

Muszę jednak na początku zrobić kilka zastrzeżeń: 1. nie jestem niczyją tubą, 2. nikomu się nie sprzedam, 3. nie idę na niczym pasku, 4. nie przemawiam przeze mnie zapluty karzeł reakcji. Wyrażam własne niepokoje.

Otóż, w ostatnim okresie wraz z większością Polaków doznawałem wielkich wzruszeń, bo jak pisał Józef Sułkowski: „...kiedy lub pozna, swe prawa, jakże olbrzymią stanie się jego siła...”

Rację miał napoleoński kapitan, ale tu właśnie zaczynają się moje niepokoje.

złotej wolności szlacheckiej. Czas to odległe, historia podobno się nie powtarza, ale warto może sobie przypomnieć, że wielkie swobody, nazwijmy demokratyczne, chociaż dotyczyły tylko jednego stanu — nie wyszły nam w swoim czasie na zdrowie. Równowaga pomiędzy brakiem swobód, a ich nadmiarem jest, jak sądzę, rzeczą na prawdę trudną. Wypadki sierpniowe, zrozumienie powagi sytuacji i konieczności dogadania się, dają na przyszłość nadzieję, że ta równowaga zostanie zachowana, nie mniej przyszedł trudny okres. Powoli mija patos chwili, wracamy do naszych codziennych, szarych kłopotów, oczekiwane i postulowane przemiany przebiegają powoli — bo inaczej przebiegać nie mogą. Ludzie nie potrafili wyzbyć się prywaty, ten i ów szarpie nadal do siebie, jakby w ogóle nie było zaszło. Większość z nas wie, że nie wyciągniemy

go. Niestety, nie piszę tego z nagłej chęci zostania Piotrem Skargą. Piszę, bo dotarli do mnie wieści niepokojące. Poza postulatami, które miały przynieść ogólne rozwiązania bolesnych problemów, wdary się i takie, które miały zasieć już nie tylko partykularny, ale wręcz charakter osobisty. W jednym z zakładów do postulatów weszła sprawa rozdziału talonów na samochody, w innym — problem usunięcia jednego z kierowników wydziału, który wprawdzie solidny, ale zbyt często wyrzucał z pracy ludzi za pijaństwo. W tym samym zresztą zakładzie snuto marzenia, że nowe związki odbiorą rozdział premii kierownikom i same będą się tym zajmować.

Nie wchodzę głębiej w słuszność postulatów, które przytoczyłem. Być może są słuszne, ale to nie ta skala. Prawo do strajku to nie nowy telewizor, który należy zaraz, za wszelką

Dalszy ciąg ze str. 1

mi dlatego, że przynajmniej częściowo oparte są na doświadczeniu własnym i osób bliskich. Dużą rolę w ich formułowaniu pełni także pogłoska plotka. Opinie oficjalne wypowiada się publicznie, na zebraniach, głoszone są również przez środki masowego przekazu, przez nauczycieli w szkole.

— Jakże często z takimi postawami spotykamy się w praktyce dziennikarskiej. Zdarza się, że podczas rozmów z dziennikarzami, przy wyrażaniu pewnych opinii i poglądów, nasi rozmówcy zaznaczają: „ale to nie do publikacji”. Podobnie podczas zebranych słyszymy: „to nie do protokołu”.

J. Lutyński: — Otóż to. Między innymi opiniami występują często różnice, a także sprzeczności, nawet, kiedy wypowiadają je ci sami ludzie. Dzieje się tak zwłaszcza, kiedy oficjalny obraz rzeczywistości społecznej jest jak u nas, jednoznaczny, wyraźnie zafalszowany. Akcentuje się jego znaczenie, a publiczne jego kwestionowanie jest niemożliwe lub pociąga za sobą sankcje. Takie podwójne opinie występują często w sprawach ekonomicznych, społecznych, w odniesieniu do najnowszej historii, nie mówiąc już o polityce. Na przykład pisze się u nas w prasie, mówi w telewizji o społecznej równości, o tym, iż ten postulat jest u nas w maksymalnym stopniu realizowany, a w każdym razie, iż świadomie i konsekwentnie dąży się do jego realizacji. Natomiast w opiniach wypowiadanych prywatnie akcentuje się rolę protekcji, przywileju, a także nierówność szans, których źródłem jest pieniądz, m.in. przy przyjmowaniu na studia wyższe. To samo dotyczy spraw lecznictwa, polityki awansowania, przyznawania nagród oraz innych świadczeń i dóbr.

Z faktu istnienia różnic między prywatnymi i oficjalnymi opiniami nie należy wyciągać wniosków, iż jedne z nich są zawsze prawdziwe i słuszne, a inne błędne lub niesłuszne. Tak więc na pewno przesadzone są wypowiedziane często prywatne opinie o roli protekcji czy nawet pieniędzy przy przyjmowaniu na studia. Jednocześnie zaś niewątpliwie błędny jest głoszony oficjalny pogląd o tym, iż odstępstwa od zasad równości, właściwych dla naszego etapu rozwoju, jeśli w ogóle występują, mają jedynie sporadyczny charakter, że są to właśnie odstępstwa, które się zwalczą, ponieważ znaczenie różnego rodzaju przywilejów w naszym społeczeństwie w ostatnich latach niewątpliwie wzrosło.

Jednak niezależnie od tego, które konkretne opinie — prywatne czy oficjalne — są słuszne, niesłuszne, ważny jest sam fakt ich rozbieżności. Ważny jest i z punktu widzenia moralnego, wychowawczego i psychologicznego, a także politycznego i ekonomicznego. Człowiek, który mówi co innego „na pokaz”, a co innego w swoim gronie i w zależności od sytuacji, nie może być człowiekiem o zintegrowanej i społecznie wartościowej osobowości. Będzie wewnętrznie rozdarty, lub co zdarza się częściej, obłudny, zakłamany, niejednokrotnie cyniczny, a w istocie obojętny wobec istotnych spraw społecznych, co też zdarza się najczęściej.

Rozbieżności opinii prywatnych i oficjalnych mają także wpływ na postawy pracowników. Jeśli oficjalna opinia głosi, iż nagradzani najwyższymi są ci, co najlepiej pracują, a prywatnie pracownik jest przekonany o tym, iż otrzymywanie wysokiego wynagrodzenia czy nagrody zależy od czegoś innego, to z jakiej racji ma pracować lepiej? Czy nie słuszniej byłoby postarać się o to, aby wejść do grona uprzywilejowanych? Takie rozumowanie przeprowadzić może każdy, bez względu na wykonywany zawód.

— W ten sposób w orzeczliwej linii doprowadzamy do demoralizacji społeczeństwa.

J. Lutyński: — Rozbieżności, o których mowa, sprzyjają w końcu zachowaniom destrukcyjnym w sytuacjach kryzysowych, chyba że dopiero wówczas będą mogły ujawnić się inne społecznie uznawane opinie i autorytety, które nawołują do poglądów prywatnych, i które sugerują jakieś konstruktywne rozwiązania. Rzecz jednak w tym, aby do takich sytuacji nie doprowadzać, a więc i w tym, aby nie dopuszczać do zasadniczych rozbieżności między opiniami prywatnymi i oficjalnymi. Pewną rolę może tutaj spełniać i nauka zwłaszcza szeroko pojęta nauka społeczna i popularyzacja wyników ich badań. Oddziaływanie nauk społecznych w omawianym zakresie powinno być dwójakie: mogą one wpływać na opinie oficjalne, jak i prywatne, prowadząc do ich zbliżenia. Badając społeczną rzeczywistość mogą wpływać na jej oficjalny obraz. Obraz taki, poddany kontroli obiektywnej,

empirycznego badania, ulegnie zmianie, stanie się mniej jednoznaczny, bardziej złożony, bogaty w elementy dotychczas w nim nie uwzględniane lub traktowane marginesowo. Taki obraz szeroko pojętej społecznej rzeczywistości będzie bliższy opiniom prywatnym, opartym przynajmniej w części na własnym doświadczeniu ludzi, którzy takie opinie podzielają. Jednocześnie obraz ten, oparty na badaniach a nie wydedukowany z doktryny, będzie mógł oddziaływać na te opinie, częściowo je modyfikując. Prace naukowe mają to do siebie, że uzasadniają głoszone przez siebie sądy. W ten sposób mogą oddziaływać na szersze kręgi odbiorców, a także czytelników. Oczywiście mam tu na myśli prace o ambicjach popularizatorskich. Aby prace takie z dziedziny nauk społecznych mogły rzeczywiście wpłynąć na świadomość społeczną, powinny w sposób nieskrę-

czym pracują owe zespoły specjalistów, czy prezentowane są tam kontrowersyjne koncepcje i jakie. Nie wiadomo nawet czy niektóre zespoły w ogóle jeszcze się zbierają.

Enigmatyczne informacje mają sprawić wrażenie, że zespoły specjalistów, spokojnie pracując, dochodzą do uzgodnionych wniosków, na których oparte zostają wszystkie ważne decyzje dotyczące gospodarki. Tylko nieliczni wiedzą, że taka sielanka nie istnieje. Ogromne rzesze czytelników prasy, telewizorów i słuchaczy radia, nie wiedzą o tym. Wiele z nich, zyskując się na trudności gospodarcze, zaczyna więc wątpić w sensowność twierdzeń ekonomii.

Ułomności informacji utrudniają także poszerzanie horyzontów myślowych ludzi drogą popularyzacji nauki. Popularyzacja wiedzy ekonomicz-

pracy niż plac. Przed paru laty znówu pojawiły się próby tego rodzaju. Szczególnie charakterystyczna była jedna z nich. Otóż wszyscy wiemy, że dochód narodowy dzieli się na konsumpcję i — lekko uproszczając sprawę — na inwestycje. Jeśli więc w danym czasie przeznaczymy więcej na spożycie, to mniej zainwestujemy. Albo inaczej: jeśli spożycie rośnie szybciej niż dochód narodowy, to inwestycje muszą rosnąć wolniej od niego. W tym sensie ekonomiści mówią, że w krótkim okresie istnieje sprzeczność między konsumpcją a inwestycjami. Jest to prawda banalna, ale zachowuje ważność tylko wtedy, gdy dzieli się jedynie to, co zostaje: wytworzone. W latach siedemdziesiątych zaczęliśmy jednak zaciągać kredyty zagraniczne, można więc było dzielić więcej niż produkowano. I oto w 1972 roku ukazał się w jednym z czasopism artykuł, którego autor

funkcjonalnych dla trwania tych grup.

— Nie brak też wyjaśnień natury psychologicznej.

B. Meibaum: — Spotykamy takie wyjaśnienia. Na przykład amerykański psycholog społeczny, Festinger, próbuje to czynić przy pomocy pojęcia dysonansu poznawczego. Festinger nazywa dysonansem poznawczym niezgodność przyjmowanych przekonań (jedno przekonanie przeczy pośrednio lub bezpośrednio drugiemu). Otóż człowiek, przyjmując nowe informacje, w tym także naukowe wyjaśnienia faktów, na ogół znajduje się w sytuacji dysonansu poznawczego. Sytuację tę odczuwa jako przykrą i dąży do usunięcia owej dysharmonii między przekonaniami. Może na przykład odrzucić dotychczasowy pogląd, czy szukać dodatkowych stwierdzeń, które zmniejszą ten dysonans.

Oczywiście jest niedobrze, jeśli większe grupy społeczne pozostają stale w stanie dysonansu poznawczego. Rodzi to niestabilność świadomości społecznej, ujawniającej się w rozbieżnościach opinii i utrudnia rozpowszechnianie naukowych przekonań, a przede wszystkim postawy naukowego krytycyzmu.

— Wracając do popularyzacji nauki, czy rzeczywiście mamy tak mało możliwości przekazywania społeczeństwu informacji naukowych?

C. Józefiak: — Niestety, nie zawsze podejmowane tematy pozostają w rozsądnym związku z zapotrzebowaniem społecznym. Swego czasu Daniel Passent wysłaniał w „Polityce” wiadomość, że warszawski oddział Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego przedyskutował sprawę emblematu Towarzystwa. Nie trudno się domyślić jak ta wiadomość podniosła prestiż ekonomistów w oczach czytelników, zwłaszcza jeśli skonfrontowali oni emblematowe zmierzwiłenia z sytuacją gospodarczą.

Wiąże się to ze sprawą ogólniejszą. Chodzi o postawy, jakie prezentują ludzie nauki w różnych okolicznościach. Wracam w związku z tym do pośredniego oddziaływania ekonomistów na świadomość społeczną, tj. do ich wpływu na gospodarkę. Jest jasne, że wpływ tego nie można mierzyć ani liczbą komisji ekspertów, ani rangą naukową łowców. Jednym z warunków wpływania ekspertów na gospodarke jest ich zdolność do przedstawiania swoich niezależnych opinii. Niezależnych od wszelkich pozanaukowych motywów. Niełatwo jest o takie postawy, gdy eksperci pełnią swe funkcje tylko w zaciszu gabinetów, sam na sam z przedstawicielami władzy. Byłoby inaczej gdyby obowiązywała jawność opinii i rad poszczególnych specjalistów. W takim przypadku ich koncepcje musiałyby być publicznie bronić, gdyż na pewno spotykałyby się z krytyką środowisk naukowych. Wychodziłoby to na dobre i nauce i gospodarce i świadomości społecznej.

Trzeba jednak wspomnieć przynajmniej o jeszcze jednym warunku oddziaływania nauki na gospodarke. Musi mianowicie istnieć skłonność polityków gospodarczych do uwzględniania w swych decyzjach rad ekspertów lub publicznego wyjaśniania powodów odrzucenia tych rad. Chodzi oczywiście nie o taką skłonność, która wynika z indywidualnych cech osobowościowych polityków, lecz o taką, którą narzuca może demokratyczny tryb podejmowania decyzji gospodarczych. Moim zdaniem jesteśmy daleko od spełnienia tych warunków.

— Wraz ze wzrostem poziomu wykształcenia społeczeństwa, a przede wszystkim świadomości społecznej, będą rosły jego wymagania wobec nauk i mnożyć się znaki zapytania. Czy owo przekazywanie informacji naukowych społeczeństwu i kształtowanie poprzez nie świadomości społecznej nie będzie wymagało znalezienia całkiem nowych form?

R. Panasiuk: — Oczywiście. Musimy sobie zdawać sprawę z tego, iż z rozwoju samej nauki wpływa wiele kontrowersyjnych problemów (nie zawsze optymistycznych), na które nie sposób odpowiedzieć: tak lub nie. Takich zawłóści dostarczają na przykład badania z dziedziny demografii, inżynierii genetycznej, środowiska naturalnego, a także współczesne badania w naukach społecznych oraz w fizyce i chemii. Niewątpliwie, popularyzacja osiągnięć naukowych i przekazywanie opinii naukowych społeczeństwu zmniejszątyby znacznie rozdział między opiniami prywatnymi i oficjalnymi, o czym to mówiliśmy, wymagać będzie całkiem nowych metod. Nie sądzę jednak, abyśmy potrafili znaleźć je już dzisiaj.

Dyskusję opracowała na podstawie stenogramu z listopada 1978 roku

MALGORZATA GOLICKA

SKĄD SIĘ BIERZE ŚWIADOMOŚĆ SPOŁECZNA

Świadomość — termin psychologiczny, niejednoznacznie rozumiany i definiowany. W najszerszym znaczeniu, dotyczącym również zwierząt, rozumiany jako stan czuwania, przytomności, warunek pełnej orientacji w tym, co się dzieje.

Świadomość społeczna — termin wprowadzony przez Marksa w „Przyczynku do krytyki ekonomii politycznej” (1859) na oznaczenie całokształtu treści życia duchowego, idei i poglądów — wspólnych dla całych grup, klas, społeczeństw, wyznaczanych przez ich byt społeczny i spełniających określone funkcje społeczne. We współczesnej literaturze marksistowskiej termin ŚWIADOMOŚĆ używany jest w szerszym i wyższym znaczeniu. W szerszym znaczeniu oznacza on całokształt charakterystycznych dla danego społeczeństwa w danej epoce treści i form życia duchowego, składających się na sposób myślenia i kulturę umysłową tego społeczeństwa; obejmuje więc zarówno postawy, poglądy i opinie ludzi oraz właściwości układu psychologicznego różnych grup społecznych, klas i warstw danego społeczeństwa, jak i historycznie przez nie wytworzone i zinstytucjonalizowane formy życia społecznego (ideologie społeczne, polityczne, prawnicze, moralności, sztuki, filozofia, itp.). Różne formy świadomości społecznej w różny sposób oddzwierciedlają rzeczywistość. Różnorodność tego odbicia jest uwarunkowana bogactwem aspektów rzeczywistości, z którymi styka się człowiek w swej działalności praktycznej, psychologicznej i społecznej oraz swoistością wewnętrznego oddziaływania na warunki bytu społecznego, poszczególnych form świadomości społecznej.

powany udostępniać wyniki badań, nie zaś — jak się często zdarza — przedstawiać oficjalny obraz rzeczywistości, którego fragmenty ilustruje się danymi empirycznymi, nieraz bez oceny ich wartości, a nawet określenia proveniencji.

J. Józefiak: — Osobiście nie jestem przekonany, czy poprzez popularyzację nauki osiągniemy ten stopień zbliżenia, który nas interesuje.

Ze względu na mój zawód, mogę się wypowiedzieć w sprawie wpływu nauk ekonomicznych na społeczną znajomość zagadnień gospodarczych na społeczne opinie w tym zakresie. Osobiście oceniam ten wpływ jako mierny z różnych powodów.

Opinie ludzi o gospodarce kształtują się przede wszystkim pod wpływem osobistych doświadczeń i bieżących obserwacji. Nauki ekonomiczne mogłyby wpływać na te opinie dwiema drogami. Pośrednio, jeśli miały one wpływ na to, co dzieje się w gospodarce. Bezpośrednio zaś drogą popularyzacji wiedzy naukowej, ułatwiającej rozumienie współzależności występujących w gospodarce oraz dającej podstawy do racjonalnej oceny polityki gospodarczej i systemu planowania i zarządzania. Otóż niezadowolający jest zarówno pośredni jak i bezpośredni wpływ nauk ekonomicznych na społeczną świadomość zagadnień gospodarczych.

Opinia publiczna wie bardzo mało o tym w jakim stopniu polityka gospodarcza i funkcjonowanie organizmów gospodarczych oparte są na naukowych podstawach, a krążące na ten temat opinie są często skrzywione. Wynika to ze sposobu informowania, który jest ogólnikowy, pełen przesłuchań i usypiający. Wiadomo np., że w ostatnich latach powoływano wiele rad naukowych, zespołów doradczych i komisji ekspertów. Do różnych spraw gospodarczych i na różnych szczeblach zarządzania. Natomiast do szerokiego ogółu nie docierają informacje o tym jak i nad

nej powinna pomagać nieekonomistom w rozumieniu tego co dzieje się w realnej gospodarce. Dydaktyka zamienia się jednak w scholastykę, jeśli nie są ogłaszane dane o gospodarce, które można by porównywać, analizować i oceniać, albo gdy dane są niepełne lub nieporównywalne. Np. nauczanie na szeroką skalę tego, jakiego powinny być stosowane kryteria racjonalności polityki inwestycyjnej bez możliwości skonfrontowania tych wskazań z nakładami i efektami konkretnych inwestycji, zwłaszcza tych wiódących, jest działaniem dosyć jałowym. Jest ona dla odbiorców trudna, bo zbyt abstrakcyjna. Gdy już te trudności pokonają, to nie mogą spożytkować otrzymanej wiedzy. W rezultacie edukacja ekonomiczna nie wpływa w stopniu istotnym na sposób myślenia edukowanych.

Nie chcę sprawiać wrażenia, że nauki ekonomiczne słabo wpływają na świadomość społeczną tylko z powodu złej informacji o gospodarce i o oddziaływaniu nauki na nią. Sami ekonomiści także nie są bez winy. Zwłaszcza ci, którzy bezkrytycznie propagują bieżącą politykę gospodarczą, a nawet każde posunięcie rządu. Wypada mi przyjąć założenie, że nie są oni świadomi tego, że inni, którzy się z nimi nie zgadzają, nie mają takich samych szans głoszenia swoich opinii. W każdym razie czytelnicy i słuchacze zapoznają się z jednostronną argumentacją i dochodzą do jednostronnych, a więc nieprawdziwych ocen rzeczywistości gospodarczej.

W krańcowych przypadkach uzasadnianie słuszności bieżącej polityki gospodarczej, które znakomicie rozszerza możliwości publicznych wypowiedzi, prowadzi do formułowania niedojrzałych naukowo uogólnień, które nie zostałyby się w otwartej dyskusji. Przykładem takich w ekonomii jest, niestety, spora, można tu przypomnieć tzw. prawo szybkiego wzrostu produkcji środków wytwórczych niż dóbr konsumpcyjnych, albo niejako symetryczne do niego tzw. prawo szybkiego wzrostu wydajności

stwierdził, że sprzeczność między konsumpcją a inwestycjami jest burżuazyjnym przesądem, który powinien być wyrzucony z podręczników. Dowodem słuszności tego zarzutu miał być fakt, że mimo bardzo szybkiego wzrostu inwestycji, wzrost konsumpcji nie tylko nie uległ zahamowaniu, ale został przyspieszony. Autor nie wspominał jednak o tym, że w tym czasie gospodarka zaczęła się zadłuzać. I nie ostrzegł, że odrzucony „przesąd” wróci wkrótce jako namacalna prawda.

Publikowanie jednostronnych poglądów nie musi być społecznie szkodliwe. Świadomość społeczna doznaje uszczerbku dopiero wówczas, gdy jest to jednostronność zaprogramowana, a więc gdy brak jest otwartych dyskusji między różnymi „szkołami” myślenia.

— Nie zapominajmy o tym, iż zakłócenia na linii: nauka — świadomość społeczna dostrzegano już dawno.

B. Meibaum: — Oczywiście, wyjaśnianiem zakłóceń między nadawaniem informacji naukowej a jej społecznym odbiorem zajmowało się wielu uczonych. Można je próbować wyjaśnić przy pomocy marksowskiego pojęcia „fałszywej świadomości”. Marks przez tzw. fałszywą świadomość rozumiał zespół poglądów zniekształcających i wyjaśniających nieadekwatnie różne zjawiska, często sprzeczne z twierdzeniami nauki.

Dość trywialnym przykładem może być tutaj opinii europejskiej w XIX wieku wobec teorii Darwina, a także wobec teorii Marksa o historycznym a nie naturalnym i wiecznym charakterze własności prywatnej. Materializm historyczny tłumaczył tego typu pojawienie się i trwałość fałszywej świadomości socjologicznej. Zajmowanie przez grupy społeczne określonego miejsca w społeczeństwie niejako wymusza przyjmowanie do świadomości poglądów

— Co pan dziś kosi?
 — Grykę.
 — Można tam wejść na górę?
 — Proszę! Po kole i na stopniel.
 — Wysoko! I huczy tu u pana!
 — Można się przyzwyczaić. Mimo hałasu słuch mam wyczulony. Wylapuję najmniejszy zgrzyt w maszynie. Od razu wiem, że coś nie gra.
 — Z tej wysokości widać każdy kamień.
 — Bo gryka licha. Zapowiadała się ładnie, ale przyszły deszcze, nie było zapalenia, a potem podgnała. W życie, gęstym i powichrzonym, kamienia się nie wypatrzy.
 — Zająca da się upolować?
 — Uciekają! Prędzej trafiłby na śpiącego pijaka. Ale nie daj Boże...
 — Od dawna pracuje pan na „Bizonie-Super”?
 — Nie pamiętam. A w ogóle to na kombajnie od siedmiu lat.
 — No, to jest pan dobry!
 — Bo ja wiem? Nie powiem, mam trochę doświadczenia. Ale żebym był taki dobry?
 — To pan jest albo skromny, albo mało rozmowny.
 — Dlaczego. Możemy pogadać.
 — Słyszałem, że jest pan najlepszy w województwie.
 — No, raz byłem pierwszy. Innego roku zajęłem drugie miejsce, a raz trzecie.
 — I co pan za to miał?
 — Coś tam było, nawet jakieś odznaczenie. Nie przywiązuję do tego wagi. Nie robię dla odznaczeń.
 — Z zamilowania?
 — Jasne! Trzeba się urodzić na wsi i lubić tę pracę.
 — A jak można zostać kombajnistą?
 — Wystarczy ukończyć kurs.
 — Długo to trwa
 — Chyba ze dwa tygodnie.
 — I to wystarczy, żeby pojechać na kombajnie do żniw?
 — Powinno wystarczyć.
 — To pewnie dlatego mówi się, że kombajniści są niedouczeni i psują maszyny.
 — W te żniwa nie miałem jeszcze żadnej awarii!
 — Pan jest taki dobry czy kombajn?
 — Nie powiem, maszyna jest dobra. A ja?

— Czego nie można powiedzieć o traktorzystach.
 — To zależy od człowieka. Jak się jakiś młody uczepli roboty na krótko i widzi, że czy stoi, czy jeździ, płacą mu jednakowo, to ma wszystko w dupie. Nie zależy mu na sprawności ciągnika, niszczy go i odsyła do kasacji.
 — Panie Klimczak, może byśmy zrobili na chwilę zakurkę?
 — W porządku. Gryki niewiele, raz dwa się z tym wyrobie.
 — No, teraz nie musimy sobie krzyczeć do ucha.
 — Jakby pan pojeździł parę dni, rozumielibyśmy się bez krzyku.

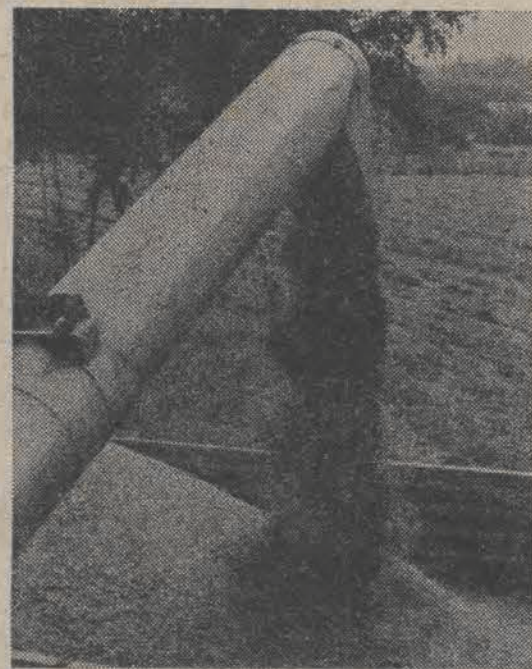
Wylapuję najmniejszy zgrzyt

Rozmowa z
JÓZEFEM KLIMCZAKIEM
kombajnistą SKR
w Nowosolnej

— Pewnie.
 — Zarobek też nie bez znaczenia.
 — No, jest różnica. Nie to, co w warsztacie.
 — Jak panu płacą?
 — Na polu w SKR dziewięćdziesiąt złotych od hektara, a u chłopów dwadzieścia dwa złote za godzinę.
 — To dużo czy mało?
 — Jak dobrze idzie, w godzinę i dwadzieścia minut mogę sprzątnąć hektar.
 — U rolników zarabia pan dużo mniej przez godzinę. Tak musi być?
 — Bo ja wiem? Na państwowym czy spółdzielczym pracuję akordowo, żebym nie stał gdzieś pod gruszką. A rolnik nie sieje zboża na równym hektarze. Tam ma kawałek taki, a tu znowu inny. Trzeba by mierzyć z taśmą, więc najłatwiej pobierać opłatę za godzinę i tak samo płacić kombajnście. Wie pan, chyba już pojeździemy.
 — Jasne, tu płacą od hektara.
 — Ruszamy. Przyzywocza się pan?
 — Siedzi się jak w samolocie. Ale teraz mocno wieje!
 — Gdy jadę z silnym wiatrem w plecy, walą na mnie kurz i plewy. Trudno się potem domyć i wypłuć wszystko z gardła. Siedzi to świństwo w nosie, w uszach, we włosach, gry-



Jak ktoś tego nie lubi, to niech się nie bierze...



Czekam na żniwa. Są męczące, ale ważne i ten gorączkowy nastrój też mnie pociąga

nie w oczy. Przydałaby się kabina dźwiękochłonna. Jak mnie złapie w polu ulewa, sam daszek nie ochroni...

— Miał pan już równie ciężkie żniwa?
 — Oj, były takie! Trzy lata temu. Jak przyszło trochę słońca i ludzie pchali się po kombajnie, spałem po dwie godziny na dobę.
 — Jak pan to wytrzymał?
 — Człowiek wytrzyma. A maszyna wysiadzie. Człowiek jest silniejszy od maszyny.
 — A jak jest w tym roku?
 — Ciężko. U nas nie ma takich mokrych gruntów, więc kombajny pracują. Ale przedtężę się, bo deszcze przeszkadzają. Ponadto rano i wieczorem jest duża wilgoć, nie można kosić. Myślę, że w gminie Nowosolna do dziesiątego września będzie koniec.
 — Ile pan „zaliczył” w najlepsze żniwa?
 — Miałem wypracowane dwieście czterdzieści godzin.
 — A w tym roku?
 — Teraz mam około sto pięćdziesiąt. W innych latach o tej porze było już po żniwach.
 — Ile pan waży?
 — Chyba ze sześćdziesiąt kilo. „Bizon” waży osiem ton, a do skrzyni wchodzi jeszcze półtorej tony ziarna.
 — W taką pogodę łatwo się więc utopić.
 — Ugrzęźłem cztery razy.
 — Traktory pana wyciągały?
 — Jak pan widzi, ciągnik za mną nie jeździ. Przy przyczepach na ziarno też żaden nie stoi. Wszystkie pracują. Zresztą nie ma takiego traktora, żeby wyciągnął te osiem — dziewięć ton. Chyba, że inny kombajn pociągnie. Ale wtedy trzeba by długo czekać, odrywać kolegę od pracy.
 — Sam pan się wydostawał z błota?
 — Sam.
 — Przy takim szarpaniu się w grzęzawisku, kombajniści rozwalają skrzynię biegów.
 — Nie trzeba się dać aż tak utopić! Jak widzę, że mi cheder opada, to jest ta część tnąca i zbierająca z przodu maszyny, i tracę szybkość, od razu staje, bo inaczej zanurzyłbym się na dobre. Podkładałem pod tylne koła słomę i operując delikatnie, z wyczuciem, biegami, sam się wydostawałem z pułapki.
 — W tym roku kombajny miały być słabo wykorzystane.
 — Tak, ale tylko na gruntach podmokłych, nisko położonych. Kiedy jednak przeszły ulewę z wichurami i zboże wyległo, snopowiązałką nie skosił, a kombajn zebrał.
 — Myślę, że w takich sytuacjach wiele zależało od kombajnisty.

— Rzeczywiście. Kiedy żyto, takie dorodne, co daje trzydzieści pięć kwintali z hektara, leży niemal na ziemi, zły kombajnista zetnie same kłosi, a dobry podbierze sporo słomy. Musi jednak bez przerwy operować zręcznie chederem. Wie pan, w tych warunkach chłopci stali się przeczorni. Zamawiają wiązałkę i kombajn. Jak im się uda skosić wiązałką, odsyła ją mnie do SKR. Jest z tego trochę bałaganu...

— Często błąka się pan po gminie?
 — No, nie. Teraz jest lista. Wysyła ją mnie do jednej wsi albo na jakąś ulicę i koszę po kole, według listy.
 — Bywa tak, że młóci pan kombajnem złote zboże?
 — To jest za drogie dla chłopów. A poza tym, gdy zbieram zboże na polu, cheder ściąga słomę równomiernie. Przy młóce słomę podaje się nierówno, przez co kombajn stale się psuje. Pęka podajnik ukośny...

— Może się pan teraz zatrzymać?
 — Co, ma pan dosyć?
 — Trochę mnie przewiało. W uszach też szumi.
 — Nic dziwnego. To już nie lato, chłodno jak w październiku.

— Nie zjedź pan na obiad?
 — Może mi przywiozą. Jak pracuję na polach SKR, to przywiozą.

— A u chłopów?
 — Kiedy pracuję na wsi, nieraz cały dzień nic się nie je.

— Głupia sprawa. Pracując u chłopów, zarabia pan dla SKR. Nie dość, że mniej płacą, to jeszcze obiadu nie dowiozą.

— Ja tego nie wymyśliłem. Pewnie ktoś z miasta...

— Co pana najbardziej denerwuje w pracy?
 — Chyba to cholerne rozdrobnienie. Nie wiadomo, jak kosić na tych małych działkach. Nie można się ruszyć. Przeszkadzają drzewa, wąskie bramy i wjazdy. Drogi przez wieś też dla mnie za wąskie, z autem nie sposób się wyminąć.

— Ludzie pana nie denerwują?
 — Też. Przychodzą na pole i kłóca się, że u nich powinienem kosić najpierw. Wtedy odsyłam ich do dyrektora.

— Są tacy, co chcą kombajniste przekupić. Stawiają nawet wódkę...

— To szczyt głupoty. Rozbić po pijanemu jakiegoś grata za kilkadziesiąt tysięcy, a rozwalić kombajn za milion, to różnica.

— Czego brakuje w zestawach kombajnów?
 — Powinny być wykorzystywane chwytaki do plew i rozdrabniacze do słomy.

— Co się najlepiej kosi?
 — Dla mnie każde zboże. Jak jest duże, płaskie pole i zboże jest suche, stojące.

— A co by pan radził początkującym kombajnistom?

— Myślę, że taki młody nie powinien zaglądać do instrukcji w czasie koszenia, bo kombajnówi nie wyjdzie to na dobre. Nieraz trzeba też odmówić wykonania polecenia.

— Na przykład?

— Jak każą wjechać w mokre zboże, bo plan wymaga pośpiechu, to nie wjeżdżać. Słoma będzie się nawijać i nic z tego nie wyjdzie. Ja myślę, że zanim kombajnista po kursie weźmie się do żniw, powinien trochę pojeździć z takim, co już coś umie. I niech pyta, niech się uczy, jak ustawić sita, jak na wiatr, do jakiego zboża. Po takiej praktyce będzie miał mniej awarii.

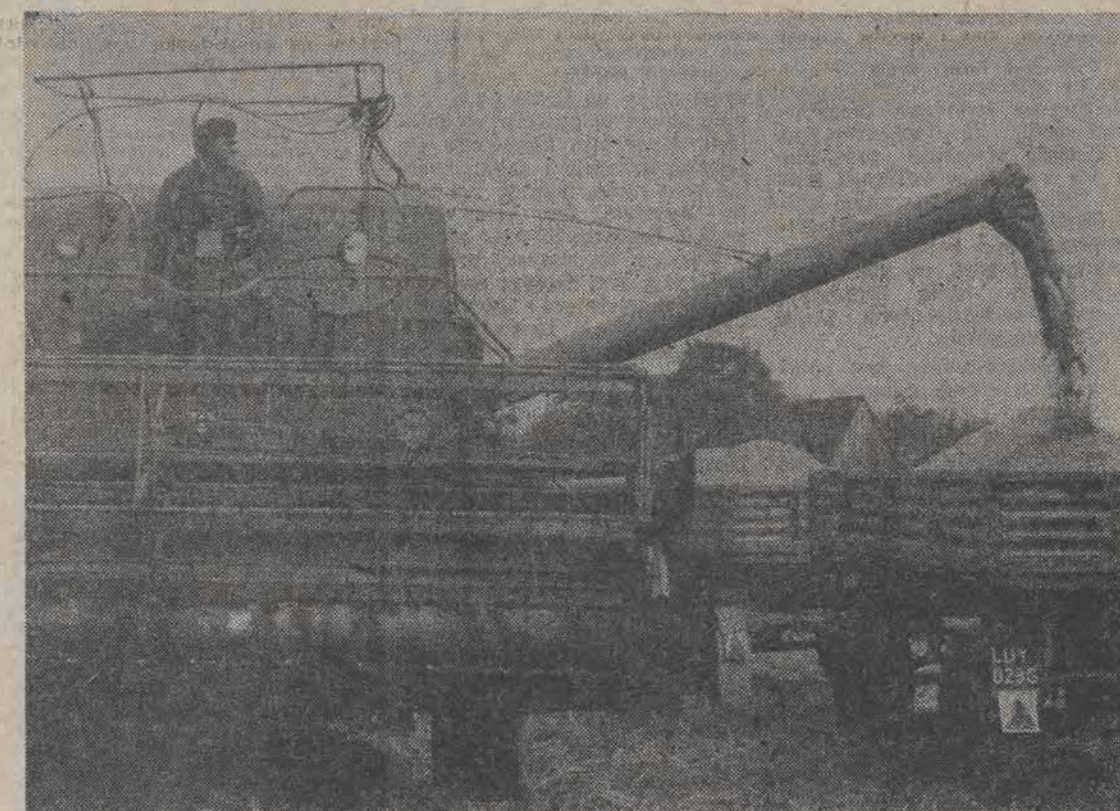
— Powiedział pan, że w żniwa czuje się ważny i potrzebny.

— Potwierdzam to. Ludzie wykonują wiele pożytecznych zawodów, ale w żniwa każdy, kto w jakiś sposób przyczynia się do zbierania chleba, jest ważny i potrzebny.

Rozmawiał: RYSZARD BINKOWSKI

Foto: R. Łucyszyn

ODGŁOSY 5



Ciągnik za mną nie jeździ. Przy przyczepach na ziarno też żaden nie stoi. Wszystkie pracują.

Coś panu powiem. Widzi pan, ile tu jest gałek? Wszystkimi trzeba operować. I to z wyczuciem, żeby nie zawadzić o grudek ziemi albo o kamień. Na pulpicie mam kilka lampek. Zapalają się przy grubszej awarii. Te drobniejsze muszę wyczuć sam.

— Musi pan znać dobrze kombajna.
 — Myślę, że znam.
 — To z ilu części się składa?
 — Nie liczyłem. Ale jest tego od cholery. Kombajn kosi, młóci i czyści. Skomplikowane urządzenie...
 — Jak zegarek?
 — Jak wielki zegarek. Gdy jedna część trząśnie, nawet ta najdrobniejsza, to od razu wysiada całość. I dlatego trzeba się obchodzić delikatnie i z wyczuciem. Pan mi przerwał, a ja chciałem właśnie powiedzieć, że jak ktoś tego nie lubi, to niech się nie bierze. Trzeba mieć serce, trochę talentu, dryg i smykałkę, bo inaczej to nawet trzy lata nauki nie dadzą.
 — Jeśli pan miesiąc przejeździ bez awarii, powinna być premia.
 — Nie ma, proszę pana. Ale kombajnista dba o maszynę, gdyż za awaryjny postój mu nie płacą.

— Kombajnista pracuje sezonowo. Nie każdy zdaje sobie sprawę z tego, co robi po żniwach.
 — Pewnie myślał, że nygusuje przez resztę roku.
 — A jak jest faktycznie?
 — Ja pracuję przez cały rok. Jestem mechanikiem i dłubię w warsztacie.
 — Naprawia pan to, co zepsuli koledzy?
 — Tak bym nie powiedział. Awarie nie zawsze powstają z winy obsługujących. Częściej ze złych warunków atmosferycznych, z pracy na wysłużonych częściach, bo zamiennych nie ma.
 — Jest pan lepszym kombajnistą czy mechanikiem?
 — Myślę, że z tym i z tym daję sobie radę. Podobno dobrze znam się na silnikach. Czasem nawet coś ulepszę. Takie drobne rzeczy, nie żadne wynalazki na wielką skalę.
 — A co pan bardziej lubi?
 — Lubię robotę w warsztacie, ale czekam na żniwa. Są męczące, ale ważne, i ten gorączkowy nastrój też mnie pociąga.
 — Czuje się pan ważny, potrzebny.

Cóż wart jest autor, chociażby tylko jednej książki, jeśli nie dręczy go pasja dociekania prawdy?

1

Wiesław Jazdzynski — jedna z barwniejszych postaci łódzkiego środowiska literackiego w całym powojennym okresie — obchodzi w tych dniach jubileusz sześćdziesięciolecia. Jako należący z daty urodzenia (11 IX 1920) do pokolenia Kolumbów, miał bujną wojenną młodość, a potem pochłonięto go rzutkie życie działacza kulturalnego różnych odmian i szczebli. Od początku związany z Kielcami uczęszczał do słynnego liceum humanistycznego, starych szkół kształcącej się sławny wychowankami, w ich gronie Adolfem Dygasińskim, nade wszystko zaś Stefanem Żeromskim. Szkołnymi kolegami Wiesława Jazdzynskiego byli między innymi Józef Ozga-Michalski, Adolf Sowiński, Julian Rogoziński, Tadeusz Papier. W okresie okupacji działał w Batalionach Chłopskich, pracował jako nauczyciel tajnego gimnazjum w Irządach na Kielecczyźnie i prowadził wykłady na konspiracyjnym Uniwersytecie Ludowym zorganizowanym przez ugrupowanie „Wici”. Również krótko po wyzwoleniu pracował jako nauczyciel szkół średnich. Następnie studiował socjologię na Uniwersytecie Łódzkim i jednocześnie rozpoczął pracę w tygodniku „Wies” (u boku Jana Aleksandra Króla), później współpracował „Kronikę” i „Odgłosy” (w którym to tygodniku przez kilka lat pełnił funkcję redaktora naczelnego). Był potem dyrektorem i redaktorem naczelnym Wydawnictwa Łódzkiego. Od lat jest aktywnym działaczem Związku Literatów Polskich, w Oddziale Łódzkim pełni między innymi funkcję prezesa zarządu. Aktualnie jest z-cą red. nac. łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia.

Debiut prasowy W. Jazdzynskiego przypadł na rok 1945: opowiadanie „Chłopcy wrócili” opublikowane zostało na łamach czasopisma „Chłopi”. Dziesięć lat później ukazał się debiut książkowy — zbiór reportaży „Nauczyciele na wsi”. Debiut to znamienny, bo sprawa nauczania uczenia się trudnej sztuki życia, słowem najszerzej pojętej edukacji, jest podstawowym problemem twórczości Wiesława Jazdzynskiego. Jako pisarz zaczynał od publikacji poświęconej sytuacji inteligencji polskiej, tylko co wspomniany zbiór szybko uzupełnił książką kolejną: „W powiatowej Polsce” (1956). Owe zainteresowania inteligencją są znamienne dla powieści Jazdzynskiego. Ich bohaterowie uwikłani są zawsze w rozmaite perypetie: osobiste, rodzinne, wojenne, polityczne. Właściwy wybór wartości pozwala im przezwyciężyć konflikty, w wyborze tym zasadniczą rolę odgrywa zazwyczaj określenie się wobec ideałów poznanych i przyswojonych w latach młodości (która przebiegała pod znakiem kultu Stefana Żeromskiego). Bez zbytniej przesady można chyba powiedzieć, że całe piśmiotwo Wiesława Jazdzynskiego polega na przedstawianiu sytuacji, w których występują ustawiczne ścieranie się ideałów z niespodziankami i przeciwnościami jakie niesie życie. „Okolica starszego kolegi” (1960, 1967, 1976), „Umarli nie składają zeznań” (1961), „Nie ma powrotu” (1963, 1971), „Świętokrzyskim polonezie” (1965, 1966), „Między prawdą a chlebem” (1966), „Sprawa” (1969), „Pomnik bez cokołu” (1970), „W ostatniej godzinie” (1971), „Pojednanie” (1974), „Koniec sezonu” (1976), „Między brzegami” (1978). Jazdzynski uprawia również twórczość dla młodzieży: „Czuwajcie w letnie noce” (1972), „Ścisłe tajne” (1974). Jest też autorem wstrząsającego reportażu z obozu dziecięcego, jaki hitlerowcy utworzyli w Łodzi w czasie okupacji. Systematycznie publikuje felietony na łamach kieleckich „Przemian”.

Za działalność społeczną, kulturalną, za publicystykę i twórczość literacką Wiesław Jazdzynski był wielokrotnie wyróżniany i nagradzany.

2

Powyższe informacje biograficzne przytoczyliśmy nie tylko z powodu okolicznościowych wymogów. Biografia Wiesława Jazdzynskiego zawążyła bowiem bardzo wyraźnie na jego literackim dorobku. Te same w gruncie rzeczy przeżycia ukła-

da pisarz w coraz to nowsze, odmienne, lecz przecież podobne, fabuły. Za każdym razem stara się wydobyc inne znaczenia, zróżnicować akcenty. Nie trudno tedy odkryć tajemnice tego piśmiotwa. Zresztą uważny czytelnik odnajdzie w „Świętokrzyskim polonezie” jej wcale nieprzypadkowe odautorskie wyjaśnienie: „Tajemnica leży w tym, że ja zawsze biorę za podstawę swoich opowiadań autentyczny fakt, albo całe wydarzenie, tylko że poczynam sobie z nim po swoje-

TADEUSZ BŁĄZEJEWSKI

MIEDZY IDEALAMI



WIESŁAW JAZDZYŃSKI: ...sam jestem prawdą i zmyśleniem.

Foto: W. Parys

A PRAWDĄ ŻYCIA

mu, kreuje na poczekaniu równie prawdopodobną, ale inną, znacznie ciekawszą rzeczywistość i najczęściej sam w niej uczestniczy. W tym sensie sam jestem prawdą i zmyśleniem. W tym sensie również prawdą i zmyśleniem są bohaterowie kolejnych książek.

Konieczność pewnej systematyki zmusza do wyodrębnienia trzech „płaszczyzn edukacyjnych” w powieściach autora „Sprawy”. Rzeczą pierwszą i naczelną jest sama szkoła jako instytucja wychowująca i kształcąca, najdokładniej chyba ukazana w kto wie czy nie najpopularniejszej powieści Jazdzynskiego — w „Okolicy starszego kolegi” — w „Okolicy starszego kolegi” i obecna niemal we wszystkich jego utworach. Sprawa druga polega na ukazywaniu partyzantki czasów drugiej wojny światowej jako najwęższego stopnia wtajemniczenia w problemy patriotycznej edukacji społeczeństwa. I obszar trzeci, widoczny zwłaszcza w powieściach ostatnich, dotyczy moralno-obyczajowej edukacji, prezentowanej na wybranych przykładach z życia działaczy kultury oraz jej twórców. Schematyzacja owa nie wyczerpuje rzecz prosta, całości problematyki, z jaką spotykamy się w twórczości Wiesława Jazdzynskiego. Pozwala jednak na wnikińskie w sprawę najistotniejsze.

3

Trudno się dziwić opisanym przez Jazdzynskiego kieleckim kilkunastolatkom, że pozostawa- li długo pod wrażeniem i „rokiem swego „starszego kolegi”. Tradycje Żeromskiego i jego i- deologii były przecież w dwu- dziesiątym międzywojennym

żywe i wśród młodych ludzi, czytających jego utwory nie tylko z uczniowskiego obowiązku, i wśród większości przedstawicieli pokolenia ich ojców. A co dopiero, gdy działali dodatkowe bodźce emocjonalne, bo oto siedziało się w tej samej niemal ławce, którą ongiś zajmował Marcin Borowicz. Uczniowskie przygody i perypetie, opisane według najlepszych wzorów literatury młodzieżowej, z dodatkiem pogodnego i nie pozbawionego sarkastycznych odciśnięć dowcipu,

Isłoty partyzanckiego systemu wychowawczego stanowiło przede wszystkim dojrzewanie polityczne. Wcześniej czy później pojawić się musiało sakramentalne pytanie, tak sformułowane przez porucznika „Oke” w „Ostatniej godzinie”: „O co ty w końcu walczysz, pytam, o jaką Polskę?” Bohater powieści nie odpowiada na nie jednym zdaniem. O jego wyborze zaświadczyć muszą w pierwszym rzędzie czyny. Ale nim dojdzie do ich realizacji, uświadamia on sobie „sztafetę pokoleń”, widzi w sobie kontynuatora narodowych zrywów, często — poprzez reminiscencje z Żeromskiego — rozpamiętuje bohaterstwo i tragizm powstańców z roku 1863. Czy jedności Polaków, widocznej wzdłuż całych polskich dziejów, przeciwstawiać należy zróżnicowanie politycznych orientacji poszczególnych oddziałów partyzanckich — oto problem numer jeden pozytywnych bohaterów partyzanckiego cyklu autora „Nie ma powrotu”. By problem ten zrozumieć, trzeba przyjrzeć się poszczególnym orientacjom. Dlatego też książki Jazdzynskiego stają się swego rodzaju zapisem dziejów całej partyzantki polskiej: od Związku Walki Zbrojnej, poprzez Armie Krajową i Bataliony Chłopskie do Armii Ludowej.

Trudnej sztuce politycznego dojrzewania towarzyszy również niełatwa sprawa wyboru. Zerwanie z własną klasą społeczną, jej przywarami, przesądami, ograniczeniami. Nawet rezygnacja z ukochanej kobiety. Ten ostatni motyw wyraźnie wskazuje na Judyńską paralele, na polemikę z postawą ulubionego w szkolnej młodości wzoru działania. Bohater Jazdzynskiego bowiem nie decyduje się nigdy na samotne poczynania, przystaje do tego ugrupowania politycznego, do którego — zdaniem jego — należy przyszłość.

O dydaktycznym nastawieniu narratorów kolejnych powieści — prawie zawsze rekrutujących się ze szlachecko-inteligentnej rodziny — świadczyć może okoliczność, iż zdecydowana większość wydarzeń przedstawiona została w kategorii lekcji, tych z optymistycznym wydźwiękiem — udzielanych narratorowi przez bohaterów pozytywnych; i tych, po których w najlepszym razie pozostaje niesmak — udzielanych przez czarne charaktery.

Charakterystyczny jest również przejaw pedagogicznej pasji młodego człowieka, wyrażający się — w najbardziej skrytych marzeniach — chęcią nauczania, teraz, w okresie okupacji; i potem — w nowej, pięknej szkole, w której nikogo z chętnych nie zabraknie. O takich ludzich powiada narrator w sobie właściwy sposób: „bardzo był nauczycielski”. Jeśli cechę tę posiadał dowódca oddziału partyzanckiego, powstawały natychmiast konspiracyjne szkoły, kursy rolnicze i medyczne, Uniwersytety Ludowe. W owej „nauczycielskości” objawia się narodowa świadomość: przekonanie o tymczasowości życia — jak je określił Kazimierz Wyka — na niby, o potrzebie organizowania duchowego życia narodu w najgorszych warunkach okupacyjnych, o niezbędności wykształcenia ludzi w dziele odbudowy i rozbudowy ojczyzny.

5

Edukacja moralno-obyczajowa związana jest ściśle z „mechanizmem wzrostu i degradacji człowieka”, z dźwigniami, które „ten mechanizm wprawiają w ruch”. Autor posługuje się tu nader prostym zabiegiem: oto w środowisku artystyczno-dziennikarskim zaczyna się zupełnie nieoczekiwane wyjaśnianie domniemanego „sprawy” jednego z bohaterów. Niedawno jeszcze u szczytu sławy, brylujący w towarzyskich spotkaniach, odnoszący sukcesy twórcze, z dnia na dzień niemal zostaje wysadzony z siódła — nikt nie wie o nim nic konkretnego, ale na wszelki wypadek przyjaciele i znajomi wolą go unikać. Rzecz wyjaśniana się w końcu, zarzuty okazują się wyssane z palca, zupełnie bezpodstawne, bohater uzyskuje satysfakcję. Ten wła-

światowy schemat fabularny realizuje Jazdzynski poprzez wykorzystanie chwytu kompozycyjnego zagadki detektywistycznej wręcz poszukiwanie prawdy o ludziach i czasach, w których żyją i działają. Bo przecież „pisanie jest poszukiwaniem prawdy”. Sprawa, o jaką chodzi w takich książkach jak „Koniec sezonu” czy „Między brzegami” jest w istocie rzeczy pretekstem dla pisarza sam człowiek. I choć dydaktyczny charakter twórczości Wiesława Jazdzynskiego zmusza do rozstrzygnięć zdecydowanych, to nie ulega przecież wątpliwości, iż autor świadomie nie dopowiada wszystkiego, pozostawiając czytelnikowi postawienie kropki nad „i”. Stara się bowiem mówić o konkretnych osobach, ludziach z krwi i kości, i z rzadka tylko pozwala sobie na uniwersalizujący wtęret.

W miarę upływu czasu bohaterowie powieści Wiesława Jazdzynskiego dokonują obrachunku ze swoim życiem, bilansują zyski i straty. Zyski są znaczne, ale i straty okazują się wcale niebagatelne, bo oto w miarę zdobywania życiowego doświadczenia coraz odleglejsze stają się ideały, którym hołdowali oni w młodości. Reprezentatywnie i dlatego zapewne gorzko brzmią słowa Karola Zesławskiego, bohatera ostatniej powieści, który z wyraźną melancholią wyznaje: „Słabszawość wspólnie z testamentem Żeromskiego, a następnie odnaleziliśmy go w lochu pomiędzy cmentarzami i uratowali dla ludzi. Na ten testament przysięgaliśmy kłęcząc przy kamieniu świru, ślubowaliśmy nie spocząć, póki nie wyschnie ostatnia krew w oku cierpiącego człowieka, i wieczną pamięć sobie żywym sobie przysięgaliśmy, śpiewaliśmy wieczorami przy ogniskach — bratnie słowo sobie daję, że pomagać będziemy wujem, mieliśmy iść przez życie drogami, których śnieg nie zasypie i nie rozmyją deszcze, a myśmy się obojętnie na tej samej krótkiej ulicy. Przysięgaliśmy na grobie Bartosza Głowackiego być siłą wszędzie do ostatniego tchu za świętą sprawę kieleckiego bandosa, a spoglądaliśmy na siebie podejrzliwie, ukryci w pluszowych fotelach. Może tam który bije się jeszcze, uczciwie i dzielnie, ale już bez mnie, bom ja już tylko aposta, ten, który odpadł...” Szczerze mówiąc odpadli wszyscy, bo wszyscy przecież podlegają tym samym prawom, które młodzieńczo fascynacje przeciwstawiają rozważnie wieku meskiego. Rzecz bowiem w tym, że wyrósł z tradycji Żeromskiego p. jęcia o roli inteligencji musiały ulec naturalnym, choć niezapelnienie bezbolesnym, przeobrażeniom. W tym też duchu piśmiotwo Wiesława Jazdzynskiego stanowi pełną emocji polemikę ze spuścizną Stefana Żeromskiego.

Twórczość Wiesława Jazdzynskiego cieszy się znaczną popularnością. Decyduje o tym nie tylko ideaowa wykładnia, decyduje tu w równej mierze styl piśmarny niedawnego laureata literackiej nagrody Kieleckiego humoru serdecznego, sposób opowiadania zahaczający tak często o młodzieńcze i późniejsze lektury, wreszcie konsekwentne wykorzystywanie kieleckich i łódzkich realiów, zmysłowa, sensualistyczna ogłada świata, ciekawość świata i człowieka.

Problemy, o których pisze autor „Między prawdą a chlebem”, wymagają niekiedy zacytowania fragmentów publicystycznych. I nie stroni on od publicystyki, ale fragmenty powieści uważa za doskonałą publicystykę i to nie tylko wtedy, kiedy dotyka spraw bieżących, niejako namacalnych. Również wówczas, gdy cofa się w przeszłość (por. np. konstrukcję przemówienia wojewody w „Świętokrzyskim polonezie”). W tej właśnie książce wypowiedział jednoznacznie swe pisarskie „credo”: „Nie ma publicystów w ogóle, w pracy pisarskiej nie ma dziewczynnek do wszystkiego, nie może być rozkosznych dyktantów, znaczenie zyskuje tylko pisarz wyspecjalizowany w określonej problematyce”. Wyspecjalizowana i konsekwentna twórczość Wiesława Jazdzynskiego potwierdza w pełni zasadność tych słów.

W wydanej niedawno książce Kazimierza Koźmiewskiego „Zostanie mi” autor przypomina o reportażu, jaki ukazał się 29 sierpnia 1944 roku w konspiracyjnym piśmie codziennym „Demokracja” kolportowanym w środowisku Warszawy, oparanym przez powstańców. Zamykał reportaż trzy zdania: „Tak się działo między Alejami i placem Zbawiciela, ale to wszystko przeminięło, przecież, przeminięło, Domy wyrosną, groby zarosną. Zostanie mi”.

Podobny jedynomyślny pogląd na rezultaty powstania spotykamy po dziś dzień w rozmowach, jakie toczą się na ten temat po 36 latach od wybuchu powstania. Nie — wątpliwości, refleksje, różnorodność sądów, spór o powstanie, ale odruch i zamiar myślenia i dyskusji — mit, jak pisze Koźmiewski.

Wydaje mi się i chyba autor tych świetnie napisanych szkiców zgodził się ze mną, że tylko w zwykłych banalnych rozmowach o powstaniu warszawskim urasta ono do wymiarów mitu. Prawdopodobnie człowiek współczesny, który nie mieszkał ówczesnie w Warszawie, i nie przeżył grozy systematycznego, codziennego bombardowania miasta przez hitlerowców, nie ma odwagi wypowiadać się o przemijającej i uświeconej bohaterką walką powstańczą tragedii narodowej. Myślę, że pełna prawda o powstaniu i kalkulacje polityczne, które doprowadziły do powstania, dojrzała w gabinetach historyków i że kiedyś zostanie nam ujawniona.

Jest faktem niezaprzeczalnym, że przekonania i wiara w wyzwolenie Polski spod jarzma trzech zaborców nurtowały w umysłach szerokich mas proletariatu i chłopstwa. Tylko burżuazja i klasy posiadające pokładały nadzieję w jelińskijszym stanowisku przywódcy polskiego nacjonalizmu Romana Dmowskiego, w jego procarskiej wierze w autonomię z łaski cara. Znalazło to jaskrawy wyraz w wielopodanej postawie Dmowskiego w

PROZA

W wydanej niedawno książce Kazimierza Koźmiewskiego „Zostanie mi” autor przypomina o reportażu, jaki ukazał się 29 sierpnia 1944 roku w konspiracyjnym piśmie codziennym „Demokracja” kolportowanym w środowisku Warszawy, oparanym przez powstańców. Zamykał reportaż trzy zdania: „Tak się działo między Alejami i placem Zbawiciela, ale to wszystko przeminięło, przecież, przeminięło, Domy wyrosną, groby zarosną. Zostanie mi”.

Podobny jedynomyślny pogląd na rezultaty powstania spotykamy po dziś dzień w rozmowach, jakie toczą się na ten temat po 36 latach od wybuchu powstania. Nie — wątpliwości, refleksje, różnorodność sądów, spór o powstanie, ale odruch i zamiar myślenia i dyskusji — mit, jak pisze Koźmiewski.

Wydaje mi się i chyba autor tych świetnie napisanych szkiców zgodził się ze mną, że tylko w zwykłych banalnych rozmowach o powstaniu warszawskim urasta ono do wymiarów mitu. Prawdopodobnie człowiek współczesny, który nie mieszkał ówczesnie w Warszawie, i nie przeżył grozy systematycznego, codziennego bombardowania miasta przez hitlerowców, nie ma odwagi wypowiadać się o przemijającej i uświeconej bohaterką walką powstańczą tragedii narodowej. Myślę, że pełna prawda o powstaniu i kalkulacje polityczne, które doprowadziły do powstania, dojrzała w gabinetach historyków i że kiedyś zostanie nam ujawniona.

Jest faktem niezaprzeczalnym, że przekonania i wiara w wyzwolenie Polski spod jarzma trzech zaborców nurtowały w umysłach szerokich mas proletariatu i chłopstwa. Tylko burżuazja i klasy posiadające pokładały nadzieję w jelińskijszym stanowisku przywódcy polskiego nacjonalizmu Romana Dmowskiego, w jego procarskiej wierze w autonomię z łaski cara. Znalazło to jaskrawy wyraz w wielopodanej postawie Dmowskiego w

„ZOSTANIE MI”

1903 roku, kiedy to okazał się ciekawym przeciwnikiem strajku młodzieży szkolnej domagającej się nauki w języku ojczystym i kiedy wysłał przeciwko łódzkiemu proletariatu bojową podległość mu „Sokoła”, żeby pomógł wojownikom carskim w tłumieniu zbuntowanych z powodu horrendalnego wyzysku przez Niemców i żydowskich fabrykantów polskich robotników i robotnic. Zjadłemu antysemicie i obłudnemu germanofobowi pomieszało się widzenie w głowie. Wyszła z „Sokoła” do Łodzi, zorientował się, że nie pomać nie tylko wojskom cara, ale również — żydowskim i niemieckim fabrykantom, wyzyskaczom polskiej klasy robotniczej. Jeszcze wyraźniej ujawniło się rusofilstwo Dmowskiego w jego podróży do Tokio w 1904 roku w czasie wojny rosyjsko-japońskiej. Koźmiewski wspomina o tym marginesowo, warto więc przypomnieć tę wyprawę, którą podjął (każdy na swoją rękę) Piłsudski i Dmowski, tak jak opisuje ją Jacek Koźmiewski w książce „Tajemnice mafii politycznych” („Iskry” 1978). Ówczesny przywódca prawicowego odłamu PPS Józef Piłsudski złożył 13 lipca 1904 roku japońskiemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych memoriał, w którym stał się przekonywał, że Polacy mogliby wnieść do tyłach armii carskiej powstanie. Następnie Piłsudski przedstawił zastępcy japońskiego szefa sztabu generalnego propozycję akcji dywersyjnej i wywiadowczej, w zamian za co Japonia dałaby powstańcom pomoc w broni i amunicji. Dmowski przeciwny polskiej akcji przeciwko carowi przekonał japońskie koła ministerialne, że powstanie w Rosji nie przyniesie im żadnych korzyści. Była to haniebna kontroakcja skierowana przeciwko praktyce wojennemu odłamowi PPS, posiadająca znamiona zdrady przeciwko narodowi polskiemu. „Patronował” jej niejaki James Douglas, obywatel brytyjski urodzony w Polsce i władający dobrze językiem polskim. Douglas stał w ramieniu w Polsce i w Japonii z ramię z brytyjską służbą tajną, zarówno Dmowskiego, jak i Piłsudskiego.

Dmowski, twórca polskiej odmiany faszystu, to jedyna postać negatywna w książce Koźmiewskiego. Wszyscy pozostali: Janusz Korczak (który odrzucał wszelkie propozycje iciekcy z getta pragnąc zostać do końca ze swymi wychowankami i poszedł z nimi na meczeską śmierć w Treblince); Henryk Dembiński, przywódca młodzieży wileńskiej, skazany przez sąd za udział w spisku, mający na celu zerwanie przemocą ustroju państwa; Aleksander Kamiński (jeden z najwybitniejszych pedagogów-praktyków międzywojennego dwudziestolecia, autor dwóch wielokrotnie wznowianych książek: „Kamienie na szaniec” oraz „Zoska” i „Parasol”); Waldemar Babiniak, założyciel trzech kolejnych Uniwersytetów Ludowych: tajnego w Jeziorkach Ziemie Jedrzejskiej, tajnego w Rożnicy w latach 1943-1945 i po wojnie w Pawłowicach; i niezmordowany w działalności społecznej piarzystwa prezes Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”, Jerzy Borejsza, oddany mniator i odnowiciel zniszczonych przez okupanta pomników kultury; wszyscy ci ludzie to postacie, z których możemy być dumni.

Przypominanie o nich, o ich ofiarnej działalności dla dobra kraju to niewątpliwie zasługa Kazimierza Koźmiewskiego, autora atrakcyjnej i wartościowej książki.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

LITERATURA NA ŚWIECIE

Wśród krajów Europy zachodniej Republika Federalna Niemiec należy do największych importerów literatury polskiej. Po kulturalnym boomie w końcu lat pięćdziesiątych, tzw. Drang nach Westen oraz ponownym ożywieniu „sprawy polskiej” nad Renem w latach siedemdziesiątych, czytelnik zachodniomiejscowy ma do dyspozycji bogatą artystycznie i tematycznie paletę naszych utworów, nierzadko w doskonałym tłumaczeniu, by wymienić tutaj prace przekładowe Klausa Staemmlera, Karla Dedeclusa, Josefa Hahna, czy Heinricha Kunstmann. Owe ożywienie podaży literatury polskiej nie towarzyszyło niestety żadna syntetyczna rozprawa historyczno-literacka (nie liczymy słabego szkicu Dietera Langer z roku 1975), chociaż potrzeba tego rodzaju kompendium dawała się wyraźnie odczuć. Świadczą o tym może zainteresowani dla zachodniomiejscowych polonistów, ukazujących się w niskich nakładach, jak np. dla książki Heinricha Kunstmann „Moder-

ne polische Dramatik” (Współczesna dramaturgia polska). Dopiero w minionym roku w cenionej monachijskiej oficynie Wilhelm Fink Verlag ukazała się książka Włodzimierza Maciaga „Die polische Gegen-

wartliteratur 1939–1976” w tłumaczeniu Klausa Staemmlera, jednego z czołowych propagatorów naszego piśmiennictwa w RFN, mającego w swym dorobku translatorskim kilkadziesiąt tomów prozy współczesnej. Dla edycji zachodniomiejscowej Maciag skrócił tekst znanej u nas pracy „Literatura Polska Ludowej”, ale jednocześnie rozszerzył okres penetracji na lata siedemdziesiąte. Zdecydował się także na przedręgowanie niektórych partii, np. uwzględnienie twórców emigracyjnych (W. Gombrowicz), pominięcie zaś innych pisarzy, jak np. L. Staffa, K. Pruszyńskiego, E. Paukszy, W. Szewczyka. Choć na-

O LITERATURZE POLSKIEJ W RFN

formację, nie zaś ocenę poszczególnych prądów, twórców i dzieł. Rozszerzono wiadomości o realiach polskiego życia literackiego, m.in. o wykaz czasopiśmi i przegląd najważniejszych dyskusji literackich.

Wydawca — reklamując książkę Maciaga — nazywa współczesną literaturę polską „fascynującą częścią literatury światowej”. I rzeczywiście, przed niemieckim czytelnikiem otwiera się obraz literatury wszechstronnej artystycznie, niebanalnej problemowo, osadzonej zarówno w specyficznych polskich sprawach, jak i otwartej na ogólnoludzkie refleksje, reagującej żywo, choć

nie zawsze przecież wprost, na różne trapiące współczesne społeczeństwo niepokoję. Dopiero przy zmienionej nieco perspektywie, z jakiej ogląda polską literaturę odbiorca cudzoziemski, łatwiej dostrzec można zalety naszego dorobku twórczego, który potwierdza dążenie literatury do utrzymania tradycyjnej roli wszechstronnego informatora o duchowym życiu Polaków, mimo iż coraz częściej i dokładniej wyręczają ją w tym dziele inne, bardziej szczegółowe dyscypliny.

Wydanie tomu polskiego historyka literatury i krytyka w RFN ma jeszcze jeden aspekt — stwarza mianowicie możliwość zaprezentowania naszego widzenia zagadnień współczesnej literatury przy użyciu narzędzi z marksistowskiego warsztatu naukowego. Zaś „polska opcja” różni się w niektórych punktach od stanowisk badaczy zachodniomiejscowych.

**TADEUSZ BŁĄŻEWSKI
KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI**

Włodzimierz Maciag, *Die polische Gegenwartsliteratur 1939–1976*, übers. von Klaus Staemmler, Wilhelm Fink Verlag, München 1979, str. 279.

FILM

Bywa, że poza kinem dzieje się więcej niż w kinie. Jego reputację muszą ratować książki o filmie. Ukazujące się rzadko i jeszcze rzadziej wzbudzające większe emocje. Jednak raz na lat parę pojawia się rzecz o filmie trafiająca w sprawy najistotniejsze. W ciągu ostatniego dwudziestolecia autorem co najmniej trzech takich książek jest Rafał Marszałek. Są to: „Powtórka z życia” z lat sześćdziesiątych, „Pamięć na kino codzienne” z początku lat siedemdziesiątych i wreszcie najnowsza — „Kamień w wodę” z lipca br. Marszałek — autor jeszcze dwu innych książek — jest wśród naszych krytyków postacią wyjątkową. Obdarzony filmowym słuchem absolutnym, bystrym okiem kulturologa i błyskotliwym językiem eseisty zdradza znaczne podobieństwo z Karolem Irzykowskim — zarówno pod względem filmowo-krytycznym, jak i gry w szachy. Wystarczy zresztą porównać fotografię Irzykowskiego przy szachownicy z pierwszego powojennego wydania „X muzy” z analogicznym zdjęciem Marszałka — sześćdziesięciolatka nie dołączonym pomyłkowo do rozdziału „List z roku 2000: o polskiej codzienności w filmie”, napisanym w marcu 2000 r. Już w tym pierwszym fragmencie książki uświadczymy, że to, co dla całego „Kamienia w wodę” charakterystyczne, Czy da się połączyć subtelną analizę psychologiczną, wrażliwość na „filmowość” filmu, umiejętność odczytywania znaczeń spoza fabuły z socjologicznym, chłodnym, racjonalnym spojrzeniem badacza kultury? Książka Marszałka udowadnia, że jest to możliwe. Oczywiście, że trzeba mieć pretensje do autora, iż z perspektywy roku 2000 nie dostrzegł przemian w ekranowym wizerunku codzienności po filmowym sezonie 1975/76, a tym bardziej rozkwitu tematyki społecznej we wcześniejszych latach osiemdziesiątych. Jednak już przy następnym temacie nie sposób nie docenić refleksji Marszałka, który analizując polski film średniowieczny uchwycił zjawisko faktycznie zamierzające (to już perspektywa roku 1980). Jednak wspomina, głębokie i głęboko umotywowane analogie filmu „Gdzie woda czysta i trawa zielona” z dwunastowiecznym malarstwem sakralnym stanowią wstęp do spraw poważniejszych.

Słabo obecne w publicystyce gazetowej tematy: obecność gwałtu i okrucieństwa we współczesnym kinie, jego erotyzm, „fizjologizm”, temat śmierci — sprawy podstawowe nie tylko dla rozumienia kina, ale kultury — pojawiają się w książce Marszałka wraz z tytułami najważniejszych filmów ostatnich lat. Najważniejszy — z punktu widzenia wzorów kulturowych, przemian w funkcjonowaniu tradycyjnych mitów, którym filmy te dają świadectwo. Autor „Kamienia w wodę” — znany przed laty czytelnikom „Współczesności”, „Literatury” i prasy filmowej moralista — nie daje się zwieść idea-

POEZJA

W połowie lata — w samym środku zimy (...); w połowie zimy — w samym środku lata przysnił mi się Akropol — oto pierwsze zdanie poematu Tadeusza Kijonki *Pod Akropolem*. I jest to jakby zapowiedź całości, bo książka ta powstała rzeczywiście na kształt snu, w którym pojawiają się obrazy z dzieciństwa autora (z radlińskich źródeł), obrazy śląskie i cały rzeczywistości i mitologiczny świat grecki, a nawet elementy biblijne.

Kijonka wybrał rzadką formę poematu lirycznego; powstaje pytanie — dlaczego tak uczynił? Myślę, że zależało mu na zespoleniu wielu obrazów, by całość zyskała na bogactwie przez różnorodność. Forma utworu przypomina nawet romantyczny poemat dygresyjny, a wszystko to pozwala pocie na jakby serne rozmazanie całości. Ale i nasuwa się idea odpowiedzi: to ambicja podsunęła mu myśl o aż takim „rozbudowaniu” formy. Sądzę, że autor napisałby pięknie, gdyby nie obrana forma poematu. Klasyczne tragedie były krótkie. Wystawiano je po kilka razem, ale nie zmuszało to odbiorcy do syntezy tak o gromnego materiału — syntezy, według mnie, niemożliwej. Uważam, że romantyczna w swej istocie koncepcja sztuki wielkiej przez swe rozmiary czasowe czy przestrzenne jest ryzykowną dla artysty mistyfikacją. Nie podejrzewam o nią autora, po prostu sądzę, że i on jest nieco zwodzony przez ambicję romantycznego monumentalizmu.

Poemat *Pod Akropolem* napisany został z rzadką precyzją, starannym doбором słów i obrazów poetyckich — to trzeba przyznać. Szczególnie wiele uznania budzi wieniec język utworu i jego rytmika. Ta ostatnia, oparta na wersie jedenastozgłoskowym, zmienia się jedynie nieznacznie, najwyraźniej w modlitwie do Matki-Ateny (modlitwa ta i następująca po niej kończąca część poematu wydają się istotnym akordem finału). Jakże wyraźnie to potwierdzenie tezy Witkacego o niecelowości automatycznej rezygnacji z klasycznych środków wyrazu w poezji, co powoduje zubożenie tak wielu współczesnych utwo-

rów. Poemat Kijonki w porównaniu z tym, co dziś możemy czytać, jest bogaty przez co interesujący.

Składa się zaś z trzech części: *Z miejsca urodzenia, Pełnia lata i morze, Ze szczytu wzgórz*, które nazwałby odpowiednio: śląska, grecka i refleksyjna. Nazwy moje są w dużej części umowne, to cały poemat jest grecko-śląski i pełen refleksji. Całość nie zawiera treści w najwykłej szym tego słowa znaczeniu, jest to, jak sądzę, swego rodzaju potok sennych obra-

PRZYSNIŁ MI SIĘ AKROPOL

zów związanych z technieniem smutku i metafizyki. Wiele krytyków z dużą żądzą łączyłoby się na tego rodzaju formę, potępiając ją w pełni. Ja nie potrafię, bo ta forma mi się podoba. Mogę jedynie wysunąć zarzut, że miałem wrażenie, jakby autor wprowadzał ją z premedytacją (w związku z ambitną formą poematu), a nie z czystej potrzeby, przeproszam — z czystej chęci. I łączy się to z moim sądem, że poemat jest jakby z założenia dobry, lecz niezbyt indywidualny. Jednak takie wrażenie i sąd nie podlegają weryfikacji.

Część pierwsza, śląska, pełna jest obrazów dzieciństwa i regionalnych impresji. Pojawiają się tragiczne wspomnienia wojenne. Wszystko to przeplata się (na sądzie kontrastu) z obietnicą snu o Akropolu. Jeden z ciekawszych środków artystycznych stanowi powtórzenie, przypomnienie pytań już stawianych, słów już wypowiedzianych. Są to słowa *Trzy siostry* przedą (stałe przypominające grecki mit

o Parkach), czy *Poznajesz? — Poznaj!* i pytanie *Kiedy to było?* przewijają się one nie tylko przez pierwszą część, ale przez cały poemat.

Część druga, kontrastująca z pierwszą, zawiera głównie obrazy greckie: *gluchy grobu dzwon Agamemnona, kolumny Sionu*, lecz wśród sennych marmurów i blasku Akropolu pojawiają się też radlińskie wzgórza w lustrach powietrza, to światło kładzianym. I znów słyhać słowa: *Poznajesz? — Poznaj!*, *Kiedy to było?*, *Trzy siostry przedą...*

Część trzecia — to jakby spojrzenie wstecz i powrót. Autor pyta o świat dzieciństwa (nikt ci nie podpowie, jak nazwałby się radlińskie dzwony), lecz w obrazach pojawia się świat współczesny (huczy autostrada, nasz dym ofiarny, misterium benzyny w biegu, asfaltu, ryk odrzutów) i pytania o jego sens, zadawane przez człowieka, który usłyszy jeszcze radlińskie dzwony i widzi jeszcze Akropol.

Poemat o specyficznym lirycznym charakterze, niemal romantyczny, z punktu widzenia przyjętych dziś norm, domaga się modnej, choć płytkiej interpretacji symbolicznej. Jeśli zatem tak trzeba, to sądzę, że można wyobrazić sobie *Pod Akropolem* jako symboliczną opowieść o człowieku, którego życie prowadziło od radlińskich źródeł, od pierwszych dziecinnych obrazów i pytań, przez tragedię wojenne do dzisiejszego świata i prowadziło go ze snem o Akropolu — ideale piękna, doskonałości i wielkości. Na tej drodze znalazł też cenną i piękną modlitwę do Matki (Ateny, Bogurodzicy, matki wspomnianej z dzieciństwa).

Ciekawa to książka, dobrze napisana a jednak — oczekiwałbym od autora więcej. Bardziej podobałaby mi się jego osobista refleksja, nie podbudowana sztucznie przez ambicję (nawet ambicję antyczną) i zawsze bardziej wierzę dziełom krótszym i prostszym.

KRZYSZTOF OSTASZEWSKI

Tadeusz Kijonka, *Pod Akropolem*. Warszawa 1979, str. 89, cena 20 zł.

POWRÓT KRYTYKA

wej prawomysłowości niektórych znanych utworów, jakie dla większości widzów byłyby jednoznaczne w swym moralnym przesłaniu. Nie sposób wymienić tu wszystkich przykładów (wypadałoby przesłać czytelników w pierwszej kolejności do rozdziału „Postępowe przesławierstwa”), ale chodzi o kierunek myślenia. Marszałek jest moralistą wyjątkowym. Nie zadawała go retoryczna uczciwość i postępowość filmowego przesłania. Nawet jeżeli zgodzi się na cel, to zaraz zapyta o metodę. Popierając intencję utworu zastanowi się nad językiem, którym są wypowiadane. Stwierdziwszy reakcję zbiorową, szczerze zamknie za sobą drzwi gabinetu. Niezależność myśli jest w pełni usprawiedliwiona.

Tak, jak ustalano to już niejednokrotnie (ostatnio Krzysztof Mętrak na łamach „Kulis”) ostatecznym tematem twórczości Marszałka jest świadomość. Świadomość autora filmu, świadomość widza wpisana w dzieło, świadomość postaci — składające się w sumie na świadomość przejawianą przez kulturę, z której tworzy filmy wyrażają. Kultura ujawnia poprzez film zarówno swoją harmonię, jak i sprzeczność. Z takiego punktu widzenia nie istnieją dzieła jawne. Nie ma filmów „złych” i „dobrych”. Każdy z nich automatycznie wyraża któryś z możliwych wariantów postawy ludzkiej w obliczu rozwiązań i pułapek, jakie stawia na niego własne środowisko kulturowe. W szczegółach, w praktyce może oznaczać to środowisko społeczne, polityczne, sferę prywatności, erotyki, samotnego myślenia o śmierci. Zawsze jest to jednak sprawa najistotniejsza: wzajemne relacje pomiędzy człowiekiem a światem wartości.

Taka postawa wobec kina ma wiele więcej wspólnego z mocno postulowaną w ostatnich latach antropologią filmu niż jawne rebusy eks-semiologów. Tym bardziej, że w „Kamieniu w wodę” powraca dodatkowa wartość pisarstwa Marszałka, niezwykła przystawalność języka do przedmiotu zainteresowania. Marszałek — krytyk nie lubi wygłaszać swoich myśli językiem naukowym, choć Marszałek — historyk filmu jest autorem metodologicznie dopracowanej „Polskiej wojny w obcym filmie”. Wybiera zawsze drogę trudniejszą, ale jakże bardziej skuteczną w mówieniu o sztuce: eseistyczny ton, język metaforyczny — uzależniony od omawianego filmu. Zamykanie w interpretacji tego, co ma z pozoru jedynie ekranowy żywot udawało się przed laty Konradowi Eberhardowi. Prawie zawsze udaje się Marszałkowi, którego socjologizm i poetyckość tekstów uzależnione są od stopnia powiązania analizowanego filmu z problematyką kultury masowej. W obliczu prawdziwej sztuki socjologizm uciecha, by tam silnie odczuwać się przy polskiej produkcji popularnej w „Pamięć na kino codzienne” — książce, która miała stać się ulubioną lekturą reżyserów w latach siedemdziesiątych.

Rafał Marszałek — postać zapoznana przez telewizję, nieobecna od lat w filmowej prasie, wciąż ma katalog mody i porady kucharskie w „Zwierciadle” (teraz tylko tam można go znaleźć) — przypominał znów o swoim istnieniu. Jeden z wybitnych a milczących krytyków jest jednak dobrze zorientowany, w jakiej sytuacji przyszło mu zajmować się filmem. Wie, na jaki odbiór może liczyć jego twórczość, przeornie więc tytuł rozdziału wykorzystuje w ironicznym tytule całej książki.

PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

Rafał Marszałek, „Kamień w wodę”, WAI, Warszawa 1980, str. 191, cena 27 zł.

ŹRÓDŁA

Nie każdy pisarz trafia do szkolnych podręczników literatury i fakt to powszechnie znany. Nawet doczesna sława nie zawsze zaskarbila sobie względy potomności, choć czasem bywa i tak, jak w przypadku Norwida, że dopiero późne wnuki przywracają należny splendor przemilczanemu za życia twórcy. Obok pisarzy wielkich działają sumienni, uczciwi autorzy, których praca ma ogromne znaczenie dla kształtowania życia duchowego społeczeństwa. Na przeciwnym znów biegunie są literaci, którzy przypisują nadmierną wartość własnym utworom, stają się mimo woli przedmiotem drwin i szyderstwa literackich kontrfaktów. Za króla Stasia nieomiesznie wykpiwano grafomana Józefa Bielawskiego, równieśnicy Mickiewicza wysmiewali Wincentego Kiszke Zgierskiego, a ich ojcowie pocziwiali księdza Bakę, „Kozłem ofiarnym warszawskich pseudoklasyków” stał się Kajetan Jaxa Marcinkowski, zaś listopadowi insurgeneci ośmieszali w Paryżu ramoty księdza Franiewicza.

Okazuje się jednak, że potomność, ostro na ogół oceniająca przemijające wielkość, z przynajmniej oka, ba, życzliwie nawet ocenia chromego Pęzga i jego ujeżdżaczy. Adam Bar wzięły w obronę Marcinkowskiego, Borowy księda Bakę, a Julian Tuwim Sotera Rozbickiego. Poeta poświęcił mu nie tylko serdeczną wzmiankę w znanym wierszu „Zachodzący bibliofil”, ale gromadził materiały do biografii Rozbickiego, która miała stanowić za-

razem rodzaj starowarszawskiej powieści, osnutej na kanwie życia codziennego stolicy. Zamiar ten został zrealizowany, bogate materiały trafiły po śmierci pisarza do Muzeum Literatury im. Mickiewicza, gdzie natrafia na ich ślad łódzki bibliotekarz i bibliofil — Janusz Dunin. Planu lektury, własnych przemyśleń i ustaleń przedstawił Dunin w osobliwej książ-

ce, obdarowując czytelników płodami swego dziwnego talentu, które dziś jeszcze bawią niepowtarzalną fabułą absurdalnych skojarzeń.

Na kartach książki Dunina spotkaliśmy poeci kwiatów: ten wielki: Julian — autor „Kwiatów polskich” — i ten niepozorny twórca „Kwiatów. Poezyj fantastycznych” — Rozbicki. Dunin nie

wiecz, a „cyganeria warszawska” się rozpada, życie miasta spowszedniało, ale toczyło się nadal i szkoda, że nie pokusił się autor o pokazanie choćby śladów owego życia ulicy warszawskiej lat 50–70 ubiegłego wieku. Wspomnienia Wilkońskiej zamykają się na roku 1851, nie przekraczają raczej owych granic pamiętniki Szymanowskiego, Niewiarowskiego czy Wielisława,

z młodym Ordonom najpewniej jesienią 1866 r. W latach siedemdziesiątych spotkanie w takich składowach, jak opisuje Wiktor Gomulicki, nie byłoby możliwe, bo po prostu Ordona w tym czasie nie było już w Warszawie. Wymieniony na s. 128 i 129 Kącki to w rzeczywistości skryptyk Apolinary Kątski, uczeń Paganiniego. Nie wymieniam tu dość licznych błędów, świadczących o niestandardnej korekcie.

Szyba Rozbicki wierzył w swe siły i zdawał sobie sprawę z powodzenia wydawanych własnym nakładem zbiorów, bo pisał na dwa lata przed śmiercią: „Najlepszy jest dowód dobroci i wartości mojej pracy tj. Anegdotek wydanych dla rozweselenia towarzysztwa, a zebranych z podań ludowych, gdy tylko w samej Warszawie w przeciągu jednego roku rozkupiono cały nakład z 3000 egzemplarzy”. Dodajmy, nie tylko rozkupiono, ale i zacytano tak dosłownie, że z dwóch rok po roku ukazujących się wydań wspomnianych „Anegdotek” kilku tylko egzemplarzy będących w posiadaniu największych bibliotek polskich dołączył się po latach skrupulatny bibliograf Karol Estreicher junior. Czy to nie jeden z dowodów pośmiertnej sławy?

ANDRZEJ KEMPA

Życie i sprawy Sotera Rozbickiego (...), nieporównanego autora bajek i piosenek, którego poznał i zgłębił Julian Tuwim, teraz na nowo ku nauce i rozrywce przypomniał Janusz Dunin. Łódź 1980. Wyd. Łódzkie str. 226, zł. 80.—

POŚMIERTNA SŁAWA ROZBICKIEGO

żeczce pod bardziej barokowym anizeli w konwencji romantycznej utrzymanym tytułem „Życie i sprawy Sotera Rozbickiego”.

Rozbicki, urodzony w 1823 r., należał do tego pokolenia „okutych w powiciu”, do którego należeli przedstawiciele „młodej piśmienności warszawskiej”: Cyprjan i Ludwik Norwidowie, Zmorski, Baliński, Wolski, Lenartowicz, Dembowskiego. Najstarszy z nich Karol Baliński (ur. w 1817 r.) na początku kariery literackiej Rozbickiego oczekiwał właśnie na kolejny wyrok w osławionej Cytadeli. Wkrótce zresztą i pozostali, w obawie przed groźnymi im aresztowaniami, opuścili niegosiinne mury paskiewiczowskiej Warszawy, by w przejawiającej wielkość nigdy już do niej nie wrócić. Rozbicki w Warszawie pozostał, bo do tajnych organizacji nie należał, trochę też, jak z książki Dunina wynika, słabo- jak na umyśle, uprawiał więc spo-

podjął się rekonstrukcji zamysłu twórczego Tuwima, bo zapiski poety stanowiły niejako szkicownik projektu. W szczególności sytuacji znalazł się przed laty Juliusz W. Gomulicki, który zdołał zrekonstruować inną zamierzoną gałąź literacko-obywatelską Tuwima „Wiersz nieznanej poety” (Warszawa 1955). Okazuje się, że nawet przy okazji próby rozwiązania dręczącej go zagadki literackiej potrafił Tuwim odnotowywać np. tego rodzaju uwagi: „Należy sądzić, że JWPani Rozbicka, matka Sotera, abonowała M(agazyn) M(ód) i że się synek — na tych wierszach wychował”.

Dunin ograniczył się w swej książce do wykorzystania bogatego materiału faktograficznego z Tuwimowskiej teki, nie wiążąc biografii Rozbickiego z wydarzeniami epoki, wbrew pozorom dość słabo opracowanej przez profesjonalistów. Gdy odeszli z Warszawy poeci tej miary co Norwid i Lenarto-

zaś późniejsze opracowania nie zawsze oddają specyficzny charakter życia codziennego Warszawy i prowincji.

O rok starszy od Rozbickiego Lenartowicz nazywał w 1844 r. poezję „kochanką ducha, matką narodów, dziewczecią słońca z mleczem i w zbroi hartownej” — była to również ówczesna miara wartościowania poezji. W tym rozumieniu Rozbicki poeta nie był, a przecież wyprzedzał epokę, w której żył. Dopiero w latach dwudziestych naszego wieku Stonimski, Tuwim i Witkacy potrafili nadać komiczną siłę absurdalnemu żartowi. Dunin potrafił dostrzec i udowodnić związek twórczości Rozbickiego ze współczesnym pojmowaniem twórczości estradowej i literatury popularnej, której naczelnym celem jest po prostu umilenie bliźnim życia.

Na zakończenie kilka uwag: W kawiarni Świerczkowskiego „Pod Papugą” (s. 133) Rozbicki mógł rozmawiać

ANDRZEJ F. GRABSKI

POLACY NA XV MIĘDZYNARODOWYM KONGRESIE NAUK HISTORYCZNYCH

Jako forum wymiany myśli i różnorodnych kontaktów historyków ze wszystkich stron świata Międzynarodowe Kongresy Nauk Historycznych od dawna stanowią wydarzenia szczególnej wagi w życiu nauki historycznej. Mają one starą metrykę. Pierwszy tego rodzaju Kongres odbył się w dniach od 23 do 29 lipca 1900 r. w Paryżu i nosił jeszcze odmienną nazwę — Międzynarodowy Kongres Historii Porównawczej. Nie było wówczas państwa polskiego, ale polska reprezentacja była na tym pierwszym Kongresie obecna. Z Warszawy przybył do Paryża jeden z najwybitniejszych historyków polskich tamtych czasów Tadeusz Korzon, zaś w jednej sekcji Kongresu wystąpiła z referatem ośmiadla w Paryżu Polka, dr medycyny Melania Lipińska, która przedstawiła referat o kobietach — lekarkach w przeszłości.

Kongresy organizowano od dawna w miarę systematycznie, najpierw w odstępach trzydzielnych, a potem pięcioletnich, z przerwami spowodowanymi przez obydwie wojny światowe.

Historycy polscy byli na nich obecni od samego początku, nie tylko w Paryżu w 1900 r., ale również w trzy lata później w Rzymie, gdzie jednym z referentów był T. Korzon, zaś w okresie międzywojennym stali się jednym z najczynniejszych ich uczestników. Według obliczeń młodego rumuńskiego historyka historiografii Lucjana Boia, ogłoszonych w 1979 r. na łamach „Revista de Istorie”, już na Kongresie brukselskim w 1923 r. historycy polscy znaleźli się na czwartym miejscu pod względem liczby wygłoszonych referatów i komunikatów, po Francuzach, Belgach i Brytyjczykach, zaś w Oslo w 1928 r. byli już na miejscu trzecim, bezpośrednio po Francuzach i Niemcach, a przed gospodarzami Kongresu, Włochami i wszystkimi innymi narodowymi delegacjami. Świadectwem międzynarodowego uznania dla polskiej historiografii polskiej w świecie było powołanie Polaków organizacją VII Międzynarodowego Kongresu Nauk Historycznych, który odbył się w dniach 21-27 sierpnia 1933 r. w Warszawie. Było to również, że wówczas historycy polscy wykazali największą aktywność podczas obrad; znaleźli się oni na pierwszym miejscu wśród referentów, przed Francuzami, Włochami, Niemcami i innymi, wygłosili 72 referaty i komunikaty, co stanowiło 23,3 proc. wszystkich tego rodzaju wystąpień na Kongresie. W Zurichu w 1938 r. byliśmy na drugim miejscu, po Francuzach, a przed Włochami, Niemcami, Szwajcarami i Brytyjczykami. Ogólnie za cały okres międzywojenny, co się tyczy aktywności na wszystkich odbytych wówczas Kongresach, znaleźliśmy się na drugim miejscu, z liczbą 151 referatów i komunikatów, po Francuzach, którzy wygłosili ich aż 220.

Ta właśnie pozycja historyków polskich, zaznaczona już u narodzin Międzynarodowych Kongresów Nauk Historycznych przed uzyskaniem przez Polskę niepodległości, a rozwinęta niezmierznie szeroko w warunkach międzywojennych, stworzyła kapitał, o oparciu o który mogliśmy szybko odbudować międzynarodową pozycję historiografii polskiej na forum kongresowym. Kładziemy o drugiego powojennego Międzynarodowego Kongresu Nauk Historycznych w Rzymie (1955) poczęli ponownie brać w nich aktywny udział. Wróciliśmy też w 1955 r. do dobrej, ukształtowanej przez wojnę, tradycji publikowania tomów historycznych studiów, przygotowywanych specjalnie na Kongresy i ofiarowywanych ich uczestnikom przez nasze delegacje.

Międzynarodowe Kongresy Nauk Historycznych nie są już dziś, jak było to w początkach ich istnienia, organizowane li tylko z inicjatywy i na odpowiedzialność narodowych środowisk historycznych tych krajów, w których się odbywają. Ich organizacją zajmuje się Międzynarodowy Komitet Nauk Historycznych, ciało zbiorowe, powołane do życia na skutek inicjatyw, wysuniętych na Kongresie w Brukseli, jeszcze w 1926 r., w którym reprezentowane są poszczególne narodowe komitety. Na czele Międzynarodowego Komitetu stoi kilkunastoosobowe Biuro, którego skład jest wybierany podczas Walnych Zgromadzeń, odbywających się zwyczajowo bezpośrednio przed kadrowym otwarciem Kongresu. Na XIV Międzynarodowym Kongresie w San Francisco w 1975 r. prezydentem Biura, na miejsce radzieckiego uczonego Ewgenija M. Żukowa, który sprawował tę funkcję od poprzedniego Kongresu w Moskwie, został wybrany zachodniemiecki historyk Karl-Dietrich Erdmann, zaś z dwóch wiceprezydentów pierwszym został nasz wybitny uczyony Aleksander Gieysztor, drugim zaś historyk amerykański Gordon Craig.

Tym razem wyruszyliśmy do Bukaresztu rano, w sobotę 9 sierpnia z Warszawy, zaopatrzeni przez Komitet Nauk Historycznych PAN w plik odpowiednich dokumentów oraz ogromne paki z książkami, wraz ze zgrabnie wystylizowanym przez sekretariat w języku francuskim zaświadczeniem, że taki to i taki profesor jest... tragarzem Polskiej Akademii Nauk. Wczesnym popołudniem wylądowaliśmy na lotnisku w Bukareszcie, które przywitało nas 40-stopniowym skwarem. Szybko przepuszczono nas przez specjalne przejście dla dyplomatów, ale nasz transport literatury wzbudził widac podejrzliwość któregoś z celników, skoro... odesłano nam go do hotelu dopiero rano dnia następnego. Pod wieczór spotkaliśmy się wszyscy w pokoju przewodniczącego naszej kongresowej delegacji, przewodniczącego Komitetu Nauk Historycznych

PAN prof. dr Stefana Kieniewicz. Dowiedzieliśmy się, że Biuro Międzynarodowego Komitetu, które obradowało 7 i 8 sierpnia, ukonstytuowało się w nowym składzie, że jego prezydentem został po raz pierwszy Polak — dotychczasowy wiceprezydent Aleksander Gieysztor, zaś sekretariat generalny po zasłużonym Michelu Francois, który piastował tę funkcję przez całe lat trzydziście, objęła pani Helene Ahrweiler, rektor Uniwersytetu Paryż I (czyli starej Sorbony), wybitna specjalistka od historii bizantyjskiej. Wybór prof. Gieyszтора na najwyższą godność w świecie historycznym w skali światowej odczuliśmy wszyscy nie tylko jako personalne wyróżnienie naszego znakomitego historyka, ale również jako świadectwo uznania, jakim cieszy się nasza historiografia na forum międzynarodowym.

Obrady Kongresu rozpoczęły się o godzinie 16 w niedzielę, 10 sierpnia, od posiedzenia inauguracyjnego w przepięknej ogromnej sali bucaresteńskiego Pałacu Kongresów. Już wchodząc do hallu pałacu, mieliśmy się przekonać, jak wiele trudu włożyli rumuńscy koledzy w przygotowanie Kongresu. Pierwszą, co rzuciło się nam w oczy w hallu pałacu, było to ogromne stoisko z książkami historycznymi, które można tu było nie tylko obejrzeć, ale także i kupić. W osobnym miejscu sprzedawano okolicznościowe znaczki pocztowe i kartki, wydane z okazji Kongresu przez rumuńską pocztę. Na stołach leżały teksty referatu rumuńskiego uczonego Stefana Pascu, który miał być wygłoszony podczas inauguracyjnego posiedzenia, a także pierwszy numer specjalnie wydanej dla uczestników obrad gazety biuletynu XV Kongresu — w wersjach francuskiej i angielskiej. Biuletyn ten wychodził przez cały czas obrad Kongresu, rozdawany bezpłatnie dostarczał nam wyczerpujących informacji o wszystkim, co i gdzie się działo. Materiały Kongresu wydali rumuńscy koledzy przy pomocy UNESCO w trzech ogromnych tomach, zawierających referaty i komunikaty; dojdzie do nich rychło tom czwarty, który obejmie kongresową dyskusję. Otrzymałmy ponadto mnóstwo literatury, zarówno naukowej, jak popularystycznej, ofiarowanej uczestnikom obrad przez rumuński Komitet Nauk Historycznych oraz delegację z innych krajów.

Było nam bardzo przyjemnie, że nasze własne publikacje — a przytargaliśmy ich własnoręcznie sporo, tak że mogłyby one wypełnić spórą furgonetkę — cieszyły się wśród zebranych ogromnym zainteresowaniem. Rozchwytywano je dosłownie, skoro przekonano się, że są one „czytelne”, to jest wydane — poza jednym wyjątkiem — w językach obcych. Historycy z innych krajów ustawicznie wypytywali nas, czy nie został nam jakiś egzemplarz czy to naszej PAN księgi kongresowej, czy dwóch tomów, wydanych przez historyków wojskowych, Acta Poloniae Historica czy Czasopisma Prawno-Historyczne. Nie kryjąc, że było mi miło, kiedy podszedł do mnie historyk z Wenezueli, aby zapytać się, jak może on dostać Czasopismo Prawno-Historyczne — nazwę tę wymówił po polsku, bardzo ją kając — w którym ukazał się jego własny artykuł, czy gdy młody historyk z Włoch dosłownie mnie zaatakował domagając się naszych wydawnictw wojskowo-historycznych, które pragnął zdobyć dla swego uniwersytetu. Rozdawaliśmy więc, co mieliśmy, otrzymując często w zamian cenne publikacje z innych krajów. Gdy zaś zainteresowała nas jakaś książka rumuńska — a przeglądaliśmy ich wiele, gdyż przed każdym miejscem obrad kongresowych było zorganizowane stoisko z rumuńską literaturą historyczną — wystarczyło tylko szepnąć słówko któremuś z rumuńskich uczonych, a już następnego dnia w swej opatrzonej numerem skrzynce w holu uniwersytetu, gdzie urzędował sekretariat, znajdowało się ją, najczęściej z biletem wizytowym autora. Ta droga zgromadziła kilka interesujących mnie rumuńskich publikacji, inne zaś — z zakresu historii historiografii, która jak się okazało jest kierunkiem badawczym, rozwijającym się w Rumunii bardzo dynamicznie — znalazłem po prostu w księgarniach.

Jak zawsze podczas posiedzeń inauguracyjnych, przedstawiciele poszczególnych delegacji wreczali przewodniczącemu Biura Międzynarodowego Komitetu wydane z okazji Kongresu publikacje. Jedni przywieźli ich mało — ledwie jakiś skromny tomik — inni więcej; miło nam było, że nasz przewodniczący prof. dr S. Kieniewicz mógł się zjawić na podium ze sporym naczyniem naszych wydawnictw. Ale nikt nie pozbilił pod tym względem delegacji radzieckiej; jej przewodniczący prof. Sergiej L. Tikwinski z Akademii Nauk ZSRR, starszy pan niewielkiego wzrostu, musiał dźwigać tak ogromny stos literatury, że... sala zareagowała na to długotrwałymi, spontanicznymi oklaskami.

W naukowym programie posiedzenia inauguracyjnego znalazły się dwa referaty. Pierwszy z nich — zgodnie z kongresową tradycją — wygłosił przewodniczący Kongresu dotychczasowy prezydent Biura prof. dr Karl-Dietrich Erdmann (za pięć lat w tej samej roli będzie miał okazję stuchać A. Gieyszтора). Referat prof. Erdmanna nosił tytuł „Ekumeniczna wspólnota historyków” i przynosił niezwykle interesujący rzut oka na dzieje międzynarodowej współ-

pracy historyków, oraz jej znaczenie dla rozwoju historycznego poznania. Prof. Erdmann, mówiąc o dorobku minionych Kongresów, nie wspominał o warszawskim, jednakże powiadając o zagrożeniu, jakie dla międzynarodowego świata historyków stanowił faszyzm i przypominając dramat II wojny światowej, przypomniał trzy nazwiska — symbole, wielkich uczonych, którzy zginęli w walce z faszyzmem. Byli nimi: Marc Bloch, współtwórca francuskiego kierunku „Annales”, Marcelle Handelsman, profesor tamtego uniwersytetu w Warszawie, który zmarł w niemieckim obozie koncentracyjnym, oraz Nicolae Iorga, będący prawdziwym „uomo universale”, wielka osobistość historiografii rumuńskiej, zamordowany przez członków „Żelaznej Strazy”. Na zakończenie swego błyskotliwie przedstawionego referatu uczyony złożył podziękowanie wiadom Rumunii za wszystko, co uczyniło dla Kongresu i wyraził nadzieję, że zasady naukowej historii, będące podstawą wymiany myśli, pozwolą na wznieślenie się ponad niezgodności polityczne i ideowe nawet co się tyczy najtrudniejszych, konkretnych zagadnień historycznych i w ten właśnie sposób „ekumenie” historyków będzie się mogła przyczynić do rozwoju pokoju i wolności w świecie. Referat przedstawiała gospodarz prof. dr Stefan Pascu nosił tytuł: „Geneza ludów romańskich. Pochodzenie i rozwój historyczny narodu rumuńskiego” i przedstawił rzut oka na całokształt rumuńskiego procesu dziejowego, ze szczególnym podkreśleniem tradycji dacko-rumuńskich, do których współczesna Rumunia silnie dziś nawiązuje. Po posiedzeniu inauguracyjnym odbył się uroczysty koncert galowy, na którym jednak nie byłem; miałem bowiem do omówienia kilka spraw z kolegami z innych krajów, a potem spotkałem przyjaciół z Bułgarii — i to zajęło już cały wieczór.

Posiedzenia inauguracyjne i końcowe odbyły się w wielkiej sali Pałacu Kongresów, obrady toczyły się zaś w najrozmaitszych salach. Dla liczebniej sekcji przeznaczono salę rumuńskiego Ateneu i tzw. małą salę Wielkiego Pałacu, będącą po prostu salą Filharmonii im. G. Enescu. Sekcje mniej liczne zagrzeździły się w pomieszczeniach w obu wielkich gmachach uniwersytetu. Sekcjom, obradującym w wielkich salach, organizatorzy zapewnił jednocześnie tłumaczenie wszystkich, co padało z trybuny, na języki kongresowe oraz oczywiście rumuński. Językami obrad były francuski, niemiecki, angielski i rosyjski, przy czym zdecydowanie przeważał francuski, doskonale znany większości intelektualistów rumuńskich, co wyróżniało ten Kongres od poprzedniego w San Francisco, gdzie francuski był wprawdzie oficjalnie dopuszczony, tylko... niemal nie można się było w nim porozumieć. Kongres w Bukareszcie zgromadził ponad 2 i pół tysiąca historyków ze wszystkich stron świata; opublikowana lista jego uczestników objęła 2691 nazwisk. Było zupełnie zrozumiałe, że tak wielkie zgromadzenie uczonych, reprezentujących wszystkie, nawet najbardziej wyspecjalizowane gałęzie i kierunki badań historycznych, nie mogło obradować inaczej, aniżeli w różnego rodzaju sekcjach.

Zgodnie z tradycją, która sprawdziła się już w San Francisco, organizowano dwie sekcje, które przyciągnęły uwagę szczególnie licznego grona uczonych: mianowicie tzw. „wielkich tematów” i metodologiczną, oraz — obsadzone już mniej licznie — sekcje chronologiczne: historii starożytnej, średniowiecznej, nowożytnej i współczesnej. Ponadto obradowały także międzynarodowe organizacje naukowe, różne stowarzyszenia, komitety, federacje, komitety i inne ciała zbiorowe, afiliowane przy Międzynarodowym Komitecie Nauk Historycznych. Nieposob było siedzieć wiecej wszystkich, co działo się na Kongresie, gdyż równocześnie toczyły się obrady nad wieloma, często nader interesującymi zagadnieniami. Zainteresowani orientowali się podług drukowanego programu, gdzie i co się dzieje i mogli swobodnie wybierać interesujące ich posiedzenia. Sprawozdania z obrad sekcji oraz afiliowanych organizacji ukazywały się codziennie na łamach kongresowego biuletynu, który znakomicie ułatwiał zorientowanie się w kongresowej aktywności poszczególnych delegacji, w tym również liczebną — niewiele ponad 40 osób — wiecej stosunkowo nielicznej, mniejszej niż delegacje innych krajów socjalistycznych — grupy polskiej. Inna rzecz, że nie zawsze wiadomości biuletynu były dokładne: niekiedy dziennikarze przepisywali po prostu informacje, podane w szczegółowym programie obrad, nie zwracając uwagi na to, że ktoś nie przybył, w związku z czym nie doszło do takiego czy innego planowego wystąpienia (tak było w przypadku nieobecnego Romana Wapilewskiego, który — sądząc po biuletynie — zabierał głos na Kongresie). Niektórzy też zabierali głos w dyskusji pod koniec dnia (taki los spotkał Władysława Zajewskiego), a nawet o dokonanych wyborach do władz różnych komisji czy organizacji. W ten sposób zabrakło w biuletynie wiadomości o tym, że nasz delegat Juliusz Bardach został wybrany prezydentem Międzynarodowej Komisji Studiów Słowiańskich.

Ale i tak wiadomości o aktywności Polaków było bardzo wiele. Już drugi numer biuletynu przyniósł obszerną wypowiedź Aleksandra Gieyszтора o tym, czego historycy oczekują od Kongresu. Od numeru trzeciego biuletynu publikował kronikę wydarzeń kongresowych. Podano tu, że obradom Międzynarodowej Komisji Studiów Słowiańskich przewodniczył Henryk Batowski, a jednym ze współreferentów był Władysław Sierczyk, że posiedzeniu Międzynarodowego Stowarzyszenia Historii Prawa i Instytucji przydygotał Juliusz Bardach, zaś w Międzynarodowej Komisji Morskiej — Maria Bogucka — jednym ze współreferentów był tam Edmund Cieślak. Posiedzeniu Międzynarodowej Komisji Historii Miał przewodniczyć Aleksander Gieysztor, który był równocześnie wiceprzewodniczącym i współreferentem na posiedzeniu Międzynarodowej Komisji Historii Uniwersytetów. Jednym z referentów w Międzynarodowej Komisji Zgromadzeń Stanowych był Andrzej Ajnenkiel. Podczas obrad Międzynarodowej Komisji Historii Rewolucji Francuskiej zabierał głos troje polskich badaczy — Stefan Kieniewicz, Monika Senkowska-Gluck i Zofia Libiszowska; Tadeusz Łepkowski przewodniczył posiedzeniu Stowarzyszenia Historyków Problemów Łatyno-Amerykańskich. Następny numer biuletynu dorzucał, że Stanisław Russocki i Hubert Izdebski występowali podczas obrad Międzynarodowej Komisji Historii Zgromadzeń Stanowych, że Józef Wolski wystąpił jako współreferent na posiedzeniu Międzynarodowej Komisji Demografii Historycznej, na którym zabierała także głos Irena Gieysztorowa. Do listy polskich uczestników dyskusji na posiedzeniu komisji, zajmującej się historią Rewolucji Francuskiej, dodano tu nazwisko Jerzego Skowronka i Zbigniewa Stankiewicza. Wspomniano tu także o aktywności M. Boguckiej i Henryka Samsonowicza w Międzynarodowej Komisji Morskiej, a także Zygmunta Borasa podczas obrad Międzynarodowego Stowarzyszenia Historii Gospodarczej. Szczególnie

licznie uczestniczyli Polacy w pracach Międzynarodowego Komitetu Historii II wojny światowej, gdzie jednym z referentów była Stanisława Lewandowska, zaś w dyskusji oprócz niej brali udział Czesław Madajczyk i Tadeusz Jędruszcak. Na zebraniu Międzynarodowej Komisji Porównawczej Historii Wojskowej jednym z referentów był Leszek Grot, zaś w Międzynarodowej Komisji Porównawczej Historii Kościołów Jerzy Kłoczowski. W tym samym czwartym numerze biuletynu podano wiadomości o powstaniu Międzynarodowej Komisji Historiograficznej, której jednym z trzech wiceprzewodniczących został piszący te słowa Andrzej F. Grabski.

Z kolejnego, piątego numeru biuletynu, mogliśmy się dowiedzieć o aktywności Polaków w Międzynarodowej Komisji Porównawczej Historii Kościołów, gdzie przez wspomnianego już J. Kłoczowskiego występowali Janusz Tazbir, Stanisław Bylina i Maria Bogucka; odnotowano tu też, że nowo wybranym wiceprzewodniczącym tej komisji został J. Kłoczowski. W tym samym numerze podano wiadomości o obradach sekcji metodologicznej, gdzie jednym z współreferentów tematu „Język historyka” był Stanisław Piekarczyk, dyskutantem zaś Jerzy Topolski. W szóstym biuletynie odnotowano wygłoszony po południu 13 sierpnia przez Józefa Wolskiego referat z zakresu historii starożytnej, oraz referat Mariana Biskupa w sekcji średniowiecza (o Janie Długoszu), wypowiedzi Tadeusza Jędruszcaka w sekcji historii współczesnej, Henryka Samsonowicza w sekcji wielkich tematów i Stanisława Piekarczyka — w metodologii. Co się tyczy obrad z 14 sierpnia, podano, że Stanisław Russocki był jednym z ekspertów w sekcji „wielkich tematów”. Dalsze wiadomości o obradach z tego dnia znalazły się już w kolejnym numerze biuletynu, gdzie odnotowano głos Jerzego Skowronka w sekcji „wielkich tematów”, poinformowano, że Edmund Cieślak był wiceprzewodniczącym obrad historii nowożytnej, podczas których zabierał głos Celiną Bońska i Lech Trzeciakowski, że Tadeusz Jędruszcak wiceprzewodniczył sekcji historii współczesnej. Mówiąc o obradach, które toczyły się 15 sierpnia przed południem, biuletyn skrupulatnie odnotował, że głównymi referentami w sekcji „wielkich tematów” byli tego dnia Juliusz Bardach i Hubert Izdebski, że obradom metodologicznym przewodniczył Tadeusz Łepkowski, a dyskutował podczas nich Stanisław Piekarczyk. Ostatni, ósmy numer biuletynu, przyniósł wiadomości o referacie Stefana Kieniewicza w sekcji historii nowożytnej i wypowiedziach dyskusyjnych referenta oraz Z. Libiszowskiej i Z. Stankiewicza, a także wypowiedzi Jana Zimmera w sekcji historii współczesnej. Wszystko to odnosiło się do obrad popołudniowych 15 sierpnia.

W przedostatnim dniu obrad, 16 sierpnia, w sekcji „wielkich tematów” dyskutowano zagadnienie „Kobieta w społeczeństwie” — tu jednym z ekspertów była Z. Libiszowska. Tego samego dnia w sekcji metodologicznej wzięli udział w dyskusji Jerzy Sulowski, w sekcji historii nowożytnej — Maria Bogucka, współcześni zaś — Czesław Madajczyk i Andrzej Ajnenkiel. W ostatnim, ósmym numerze biuletynu kongresowego, podano wiadomości, że Czesław Madajczyk został jednym z wiceprzewodniczących Międzynarodowego Komitetu Historii II Wojny Światowej, zaś Irena Gieysztorowa oraz Jerzy Sulowski weszli do władz Międzynarodowej Komisji Demografii Historycznej. Na pierwszej stronie ostatniego numeru kongresowego biuletynu widniała fotografia nowego prezidenta Międzynarodowego Biura Nauk Historycznych oraz jego wypowiedź, zatytułowana: „Spotkanie na XVI”, poświęcona przyszłemu Kongresowi, który odbędzie się za pięć lat w Republice Federalnej Niemiec.

Część polskich delegatów, kolegów z uniwersytetów — bowiem niektóre uczelnie dały delegację na krócej niż trwał Kongres — opuściła Bukareszt już w sobotę wieczorem. My jednak zostaliśmy, aby uczestniczyć w zamknięciu Kongresu, które odbyło się uroczystość w tej samej wielkiej sali Pałacu Kongresów, co otwarcie i w podobnej, uroczystej atmosferze. Zostaliśmy nie tylko po to, aby wysłuchać końcowego referatu jednego z wybitnych historyków rumuńskich i aby przypatrzeć się uroczystości i przejmowania władzy przez nowo wybrane władze Biura, ale... by ciałem i duchem towarzyszyć naszemu prezydentowi — Aleksandrowi Gieysztorowi. Należy bowiem do zwyczaju, że nowo wybrany prezydent Międzynarodowego Biura, który obejmuje swą funkcję z zakończeniem Kongresu, wygłasza podczas uroczystości jego zamknięcia dłuższe, zasadnicze przemówienie. Teraz miał to uczynić Aleksander Gieysztor. I zrobił to znakomicie, w świetnej francuszczyźnie (z kilkoma efektownymi cytatami po angielsku), z ogromną swobodą, niezmiernie — wręcz po aktorsku — efektownie. Cóż, tego rodzaju wielkie wystąpienie przed salą, złożoną z kilku tysięcy osób — bowiem na zamknięcie Kongresu przybyli nie tylko jego członkowie, ale i mnóstwo gości — muszą mieć coś z aktorstwa, jeżeli mają sprawić silne wrażenie na słuchaczach. A swoją drogą... po raz pierwszy w życiu widziałem, że tak znakomity mówca, jak prof. Gieysztor, w pierwszych minutach swego wystąpienia miał jednak chyba pewną treść...

Wracaliśmy do kraju samolotem, dopiero pod wieczór następnego dnia, 18 sierpnia, wwożąc walizki pełne naukową literaturą, mając w żywej pamięci atmosferę Kongresu, który został zorganizowany rzeczywiście znakomicie, chyba lepiej jeszcze, niż poprzedni w San Francisco. Wracaliśmy pełni wrażeń, a jednocześnie zmęczeni wykonaną pracą — bo udział w międzynarodowych Kongresach naukowych, choć bardzo interesujący, do relaksowej turystyki nie należy. Myślę też, że wszyscy, którzy uczestniczyli w obradach, wracaliśmy z poczuciem spełnionego obowiązku — kontynuowania tradycji polskiej aktywnej obecności na Międzynarodowych Kongresach Nauk Historycznych, którą my, historycy polscy, tak sobie wysoko cenimy.

Niżej publikowany artykuł wyjął się z założeniom amerykańskiego tygodnika „Der Spiegel” z numeru datowanego 11 sierpnia. Tytuł również pochodzi z „Der Spiegel”. Całość pozostawiamy bez komentarzy.

Pod koniec lipca w najważniejszych gazetach w Stanach Zjednoczonych ukazały się jednoznaczne głosy bijące na alarm. Twierdziły one, że „narodowe bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych” oraz „pozycja Stanów Zjednoczonych w polityce światowej” są zagrożone. Ostrzegali przed tym dzienniki: NEW YORK TIMES, WASHINGTON POST, WALL STREET JOURNAL i LOS ANGELES TIMES. Ich zdaniem, tylko wtedy, jeśli Amerykanie zmobilizują wszystkie siły i zdobędą się na ogólnonarodowy czyn, będzie można zapobiec rozpadowi amerykańskiej gospodarki.

W kilka dni później wielkie koncerny przemysłowe przedstawiły spektakularne materiały na uzasadnienie tezy, że gospodarka amerykańska cierpi na niebezpieczne zaburzenia równowagi.

Trzy koncerny samochodowe: General Motors, Ford i Chrysler doniosły, że jedynie w drugim kwartale 1980 roku, w wyniku nacisku konkurencji zagranicznej i spadku popytu w Ameryce straciły one w sumie gigantyczną kwotę 1,5 mld dolarów. Nigdy więcej od czasu wielkiego kryzysu przed 50 laty żadna gałąź przemysłowa nie poniosła takich strat. Nie można wyraźnie uświadomić sobie, jak bardzo dotknięte zostało czołowe mocarstwo gospodarcze świata zachodniego.

Dla większości Amerykanów społeczeństwo rozkwitu gospodarczego i dobrobytu w ostatnim dziesięcioleciu stało się mglistym wspomnieniem. Każdego roku Amerykanie muszą godzić się ze spadkiem realnych dochodów, co miesiąc czytają doniesienia o wzroście inflacji (obecnie 14,3 proc.), lub wzroście bezrobocia (obecnie 8,2 mln Amerykanów nie ma pracy).

Niedawno profesor Lester Thurow z bostońskiego MIT pisał: „Nikt nie odziedziczył więcej naturalnych bogactw, więcej źródeł surowców i energii niż my. Nie jesteśmy biednym, małym chłopcem, który musi walczyć o swój byt, lecz

bogatym małym chłopcem, który odziedziczył ogromny majątek. Wydaje się, że to dzieciństwo roztrwoniliśmy”.

To uczucie dzieli 81 sygnatariuszy ogłoszeń w prasie bijących na alarm. Parę tygodni temu zebrał się oni na kryzysowe posiedzenie w jednej z mrocznych sal Uniwersytetu Harvard. W sali, w której znajdowały się tysiące tomów amerykańskiego ustawodawstwa, uczestnicy konferencji obradowali na temat, czy „Ameryka może być państwem konkurencyjnym”.

Mówiło się o „upadku naszej międzynarodowej siły gospodarczej” (senator Abraham Ribicoff z Connecticut), o wysokim deficycie bilansu handlowego i wysokim wskaźniku inflacji (senator Lloyd Bentsen z Teksasu) oraz o tym, że najbardziej naród uprzemysłowionego świata spada do rzędu siły gospodarczej drugiej rangi.

Wśród 150 fachowców nie było żadnej wątpliwości, że gospodarka amerykańska w porównaniu do innych krajów nieustannie coraz dalej zostaje w tyle, nawet w stosunku do tych krajów, które zostały 35 lat temu przez Stany Zjednoczone pokonane.

Szef elektronicznej firmy Texas Instruments, Mark Shepherd, przedstawił sytuację w brutalnych danych. Stwierdził on: „Udział nasz w handlu światowym spadł z 18,2 proc. w roku 1960 do 12,3 proc. w roku ubiegłym. Udział Niemiec w tym samym czasie wzrósł z 10,1 do 12 proc., a Japonii z 3,6 do 7 proc.” Następnie postawił on pytanie: „Dlaczego naszemu przemysłowi nie wychodzi na dobre, iż wśród najważniejszych krajów uprzemysłowionych właśnie my mamy stosunkowo najniższe koszty siły roboczej?”

Sceptycy uważają, że w gospodarce amerykańskiej rozwinęło się coś w rodzaju angielskiej choroby, której symptomem są coraz wyraźniejsze. Amerykański koncern elektroniczny Westinghouse na własną br. wykupił 8-stronicowe ogłoszenia, zwracające uwagę na pokrewieństwo anglosaskie i głoszące: „Jesteśmy w stanie pomóc amerykańskiemu przemysłowi i skorygować obraz amerykańskiej gospodarki”.

Japonia, RFN, Francja i nawet cierpiące na ustawiczne strajki Włochy były w stanie w okresie od 1968 do 1978 roku zwiększyć wydajność przemysłu o 60 proc. Wzrost wydajności w przemyśle amerykańskim był niewiele szybszy niż w przemyśle angielskim.

Profesor ekonomii Uniwersytetu Harvard, Henry Rosovsky, ostrzega, że Stany Zjednoczone stanęły w obliczu poważnej „narodowej choroby”.

Przypomina on, że również w Anglii tylko nieliczni ludzie zauważyli początki podobnej choroby.

Czy można mówić o pesymizmie zawodowych przepowiadaczy kryzysu, czy też o realistycznej perspektywie? O nieudolności menedżerów i polityków, czy o ostrzeżeniach ludzi kompetentnych?

Ameryka jest krajem, do którego przez 200 lat pasowały wszystkie superlatywy i który w ciągu ostatniego dziesięciolecia stał się krajem

wymocowanym gospodarczym świata. Jednakże niewątpliwie to mocarstwo znajduje się w trudnym okresie przejściowym. Nie idzie tu o wskaźnik wzrostu, wskaźnik dochodów czy inflacji. Idzie o coś więcej. W odróżnieniu od Europejczyków, którzy musieli odpracowywać skutki dwóch wojen światowych i przyzwyczaili się do walki z trudnościami, Amerykanie ciągle nie mogą zrozumieć, że ich zasoby są ograniczone.

Zaledwie Amerykanie uporali się z szokiem arabskiego embarga na ropę naftową, to już wkrótce potem musieli się zapoznać z nowymi kolejkami po benzynę. Kiedy w ostatnich latach dochód realny zaczął spadać, to Amerykanie żyli na kredyt dzięki systemowi 600

wysokości konstrukcyjnych. Rachunek strat i zysków funkcjonował prawidłowo.

Obecnie powstało pytanie: co poszło źle? Na to pytanie George Mesthoun z teksaskiego przedsiębiorstwa El Paso odpowiada: „Nasz przemysł prowadzony jest głównie przez finansistów i księgowych, którzy nie rozumieją nowoczesnej techniki”. Amerykańscy menedżerowie ciągle mieli oczy skierowane na kursy giełdowe, a nie na to, co się dzieje w ich zakładach. „Musimy wreszcie zacząć produkować pierwszorzędne wyroby po cenach konkurencyjnych”.

Szef amerykańskiego oddziału Hoechst, John Brookhuis, stwierdza: „Nasi menedżerowie byli nastawieni na krótkofalową orientację na zysk. My-

nowym samochodem, jest po prostu nową grą”.

Dopiero tak nie lubiany przez menedżerów rząd musiał ingerować, żeby zmusić przemysł samochodowy do wzięcia pod uwagę trudności paliwowe. Jednakże przeciwko importowi z Japonii nie są w stanie bronić się najnowsze amerykańskie modele. Podczas gdy sprzedaż samochodów produkowanych w Stanach Zjednoczonych spada o 60 procent, wskaźniki importu biją wszelkie rekordy.

Po podróży do Japonii grupy menedżerów amerykańskich, Ralph Barra, dyrektor koncernu Westinghouse, powiedział: „Japończycy robią wszystko z niezwykłą precyzją dbając o jakość. Obecnie również my musimy się tego nauczyć”. Znajduje to odbicie w domach towarowych. Na sprzętach domowych można zobaczyć ogłoszenia: „Importowane”, co równoznaczne jest, że towary te są lepszej jakości. Jak stwierdza prasa fachowa, wiele produktów japońskich ma wysoki zbyt, mimo że są one droższe. Wynika to z ich zdecydowanie lepszej jakości i większej trwałości.

W dziedzinie samochodów i ciężarówek Stany Zjednoczone sprzedają obecnie za 12 mld dolarów więcej niż eksportują. W dziedzinie urządzeń elektronicznych negatywny bilans wynosi 4 mld dolarów, a w dziedzinie ciężkich obrabarek — 6 mld dolarów. W dziedzinie maszyn do pisania, odzieży, mebli i aparatów fotograficznych również 12 mld dolarów. Najgorszą rzeczą jest nie tyle ujemny bilans handlowy, ile jego skutki dla zatrudnienia w Stanach Zjednoczonych.

Amerykański przemysł wykazuje zakłócenia właśnie w tych sektorach, w których za trudniejszych jest najwięcej robotników, a więc w przemyśle samochodowym i w przemyśle dostawczym, w dziedzinie elektroniki, budowy okrętów, w przemyśle stalowym i w przemyśle maszyn ciężkich. W tych dziedzinach pracuje 45 proc. ludzi zatrudnionych w przemyśle.

Natomiast w tych dziedzinach, gdzie Stany Zjednoczone nadal produkuje, gdzie są bezkonkurencyjne, pracuje stosunkowo mało ludzi.

Na przykład w przemyśle lotniczym, który nadal produkuje na świecie mimo aerobusu europejskiego, nie pracuje nawet tyle ludzi, ile zostało zwolnionych w ostatnich miesiącach w przemyśle samochodowym, to znaczy we wszystkich największych koncernach razem nie pracuje więcej niż 250 tysięcy ludzi.

Przemysł komputerowy wykazuje zdumiewające wskaźniki rozwoju, ale udział jego w zapewnianiu miejsc pracy jest bardzo mały.

Dotychczas Amerykanie mogli się ratować likwidując nieopłacalne gałęzie przemysłu i przerzucając się na usługi. Jednakże w obecnej koniunkturalnej drodze ta jest już zamknięta.

Na konferencji w Harvardzie stwierdzono: „Cały system działania wolnorynkowego stanął pod znakiem zapytania. Główną przyczyną jest brak możliwości konkurencyjności i o ile Stany Zjednoczone nie będą w stanie produkować artykułów konkurencyjnych, to Ameryka nie będzie supermocarstwem gospodarczym.

Eksperti nie bardzo wierzą w rychły przełom. Menedżer koncernu Xerox, David Kearns, stwierdza, że najlepszym do wiodem kryzysu jest fakt, że coraz więcej ludzi zarządzających przemysłem udaje się do Waszyngtonu, aby prosić o pomoc państwową.

Kiedy Lee Iacocca z koncernu Chryslera prosił w Senacie o pomoc w wysokości 1,5 mld dolarów, jeden z senatorów zapytał go, czy ta prośba nie jest sprzeczna z gospodarką wolnorynkową. Odpowiedział on na to: „Do diabła z gospodarką wolnorynkową!”. Podobnie myślą również jego koledzy i mają do tego powody. W obliczu dwucyfrowego wskaźnika inflacji, w obliczu złego zarządzania, chwiejących się koncernów, stających się na pogranicze bankructwa, nie można wykluczyć katastrofy na wielką skalę. Jeden z czołowych bankierów, Gary Wenzelowski, mówi: „Nie wiem konkretnie, o które firmy chodzi, ale wiem na pewno, że w naszym kraju jest wielu potencjalnych Chryslerów”.

USA: UPADEK GIGANTA

nieprzewidywalnych sprzeczności.

Jest krajem, z którego wychodzi większość laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, chemii i medycyny i który ma jednocześnie więcej analfabetów niż 10 lat temu. Powszechne nauczanie znajduje się, zdaniem fachowców, na żałostnym poziomie.

Kraj największych banków, najbogatszych rodzin i najbardziej luksusowych rezydencji, w coraz liczniejszych rejonach ma coraz więcej slumsów. Nawet emeryci średnio uposażeni stoją w kolejkach po bony żywnościowe. Kraj najbardziej zmotoryzowany na świecie cierpi na niedostatki transportu masowego i towarowego, a jego sieć kolejowa działa mniej więcej tak, jak za czasów pionierów. Jest również niedołężna i równie wiele zdarza się w niej wypadków. Systemy komunikacyjne wielkich miast nie wytrzymują żadnego porównania z miastami europejskimi.

Kraj firm, które dokonywały licznych wynalazków, takich jak firmy lotnicze i komputerowe, ma całe gałęzie przemysłu produkujące buble o nędznej jakości. Zakłady stalowe w Stanach Zjednoczonych są tak przestarzałe, że od dawna nie wytrzymują konkurencji z innymi krajami.

Dziennik NEW YORK TIMES pisał, że chaos gospodarczy niepokoi Amerykanów obecnie bardziej niż kiedykolwiek w całej historii USA. Dziennik opierał się na wynikach badania opinii publicznej. Pesymistyczna ocena całej gospodarki opiera się w dużej mierze na gorzkich doświadczeniach budżetu poszczególnych rodzin. Dwóch spośród trzech ankietowanych stwierdza, że w 1979 roku musieli naruszyć swoje oszczędności. Musieli zmienić styl życia w związku ze stałym spadkiem realnych dochodów.

Zupełnie fatalistycznie brzmią wyniki ankiety przeprowadzonej przez firmę Garth na zlecenie konferencji, jaka odbyła się w Harvard. Według tej ankiety:

— 90 proc. Amerykanów uważa, że gospodarka amerykańska kroczy w niewłaściwym kierunku,

— 70 proc. uważa, że wpływy Stanów Zjednoczonych na świecie maleją,

— 62 proc. uważa, że Stany Zjednoczone stały się trącią w porównaniu z gospodarką innych krajów.

Winę za to wszystko, zdaniem ankietowanych, ponoszą albo wszyscy, albo nikt, 33 proc. twierdzi, że winę ponosi rząd, 18 proc. uważa, że wynika to z żądzy zysków koncernów, 8 proc. uważa, że wynika to z działalności związków zawodowych, 14 proc. obarcza winą biurokrację.

Jeden z ekspertów, Ezra Vogel, mówi: „W najbliższych latach wskaźniki rozwoju gospodarczego Japonii będą dwu- lub trzykrotnie wyższe niż w USA.

Inny ekspert, Lawrence Klein, uważa za jednego z największych ekonomistów USA, stawia pytanie, czy Amerykanie „będą w stanie utrzymać się na powierzchni, jako czołowe mocarstwo gospodarcze”. Nie jest to pytanie postawione rozsądnie. Jest oczywiste, że Stany Zjednoczone, przy swojej potęgze finansowej, przy swoim gospodarczym „know-how” i przy swojej wielkości, przez wiele jeszcze lat będą czoło-

wnymi kart kredytowych. Zachowywano fasadę państwa dobrobytu, mimo braku pokrycia.

4-osobowa rodzina korzystająca z pomocy społecznej otrzymuje dwa razy w roku czek na 258 dolarów miesięcznie. Mimo że wartość dolara spadła od 1974 roku, świadczenia te nie zostały podwyższone.

Amerykańskie społeczeństwo w dużo mniejszym stopniu niż jakiegokolwiek inne przygotowane jest na przejście do okresu, kiedy nie będzie się można opierać na ropie naftowej. Dzieje się to w wyniku wpływu przemysłu samochodowego, który uruchamia całą grę pozorów.

Towarzystwa kolejowe będą musiały wydać 42 mld. dolarów w ciągu najbliższych 5 lat, aby utrzymać swoją linię w takim stanie. Na spadek wskaźnika wypadków nie można w ogóle liczyć. Ponieważ toczy się w opłakany stan, nie ma tygodnia bez katastrofy kolejowej. Kiedy wypadek dotyczy transportu trujących substancji, trzeba ewakuować całe regiony.

Równie zaniedbane, jak linie kolejowe, są środki masowej komunikacji w miastach. Kolej podziemna w Nowym Jorku wyróżnia się wysokim wskaźnikiem przestępstw kryminalnych, zdezolowanymi torami i marnym funkcjonowaniem. Główną przyczyną częstych wypadków na tej kolei są wady wagonów. Na przykład, z 754 nowych wagonów dostarczonych przez firmę Pullman, większość trzeba było wycofać z ruchu, ponieważ podwozia miały niebezpieczne pęknięcia.

W wielu dziedzinach Amerykanie wydają się bezkonkurencyjni a ich zdolności nieograniczone. Trzeba pamiętać, że Amerykanie zdobyli Księżyc, i w dalszym ciągu amerykańskie koncerny znajdują się na czele list światowych rejestrujących najpotężniejsze przedsiębiorstwa. Jednakże właśnie to budzi coraz większe wątpliwości obywateli amerykańskich. Głównym powodem samokrytycznego zastanowienia się nad sytuacją był dramatyczny krach w amerykańskim przemyśle samochodowym, kiedy trzeba było zwolnić 300 tys. robotników i zamknąć kilkadziesiąt fabryk.

Katastrofa przemysłu samochodowego zmusiła polityków, z Jimmy Carterem na czele, do zastanowienia się, czy czołowe mocarstwo Zachodu nie musi się obawiać czegoś więcej niż przejściowej recesji. Minister komunikacji, Goldschmidt, stwierdził: „Podstawy naszej gospodarki znalazły się pod ciężkim ostrzałem”.

Amunicja do tego ostrzału, o czym zapominał powiedział Goldschmidt, dostarczana jest przez samego ostrzelanego. Przez wiele lat, a nawet dziesięciolecia, liczne amerykańskie firmy zaniedbywały:

— nakłady na badania i rozwój nowej produkcji i ulepszenie procesów technologicznych,

— walkę konkurencyjną na rynku międzynarodowym,

— starania o lepszą jakość i większą trwałość swych wyrobów.

Dopóki produkowany w Ameryce toster wystarczał amerykańskiemu klientowi, wszystko było dobrze. Dopóki kupowano odczołki, technicznie przestarzałe limuzyny 8-cylindrowe, to nie było powodu do żadnych

śledzi tylko o zadowoleniu akcjonariuszy, nie myśleli w ogóle w kategoriach długofalowych, w kategoriach rozwoju produkcji i poprawy jakości”.

Myślenie takie wynikało z różnych powodów. Są to powody zarówno banalne, jak i bardzo istotne. Prawie wszyscy czołowi menedżerowie amerykańskich koncernów mają wysoki udział w zyskach tych koncernów. Ten udział, zapewniony w umowach o pracę, działa jako stały bodziec osiągnięcia wysokich zysków, ale jednocześnie jest antybodyem dla długofalowych inwestycji.

Znaczne nadwyżki i wysokie kursy giełdowe oznaczają dla czołowych menedżerów czystą gotówkę. Sprzedają oni swoje opcje za wysoką cenę.

Menedżerowie amerykańscy odrzucają zarzuty, iż są oni niezdolni do wprowadzenia innowacji i prowadzenia badań nad rozwojem produkcji. Winę za obecny stan składają oni na system podatkowy lub na rzekomą krepującą ich biurokrację. Ich zdaniem właśnie to są przyczyny spadku wydajności.

Ostatecznie nie wiadomo, jakie są przyczyny obecnego kryzysu. Nikt nie kwestionuje, że wydajność przemysłu amerykańskiego spada, ale nie ma zgody co do przyczyn tego zjawiska.

Profesor z Harvardu, Zvi Griliches, twierdzi, że główną przyczyną jest wzrost cen energii i inflacja. Jednocześnie wielu innych odrzuca tę tezę. Ich zdaniem główną przyczyną jest brak postępu w technologii produkcji. Ponadto wzrastające koszty kredytów.

Bez względu na to, jak przebiegały spory ekspertów, apel Jimmy Cartera, wygłoszony w listopadzie ub. roku, by amerykańskie przedsiębiorstwa wykazały „twórczego ducha Ameryki”, na razie nie przyniósł żadnego oddźwięku.

Dla przemysłu samochodowego przebudzenie się z letargu przyszło o wiele za późno. Przyszło w chwili, gdy świat wyprzedził Amerykę już o wiele lat. Sytuację rynkową dyktują lepsze technicznie małe i średnie samochody z Japonii i Europy. Były dyrektor General Motors, John DeLorean, stwierdza: „Zarządy koncernów samochodowych przez dziesięciolecia koncentrowały się wyłącznie na tym, jakie nowe kształty nadawać blasze, z której robi się nadwozia”.

Nie brakowało jednakże wcześniejszych ostrzeżeń. Już przed 20 laty ówczesny dyrektor Forda, Goldman, ostrzegał: „Jeśli istnieje jakaś branża, w której konieczne są nowe idee, to właśnie przemysł samochodowy. Perspektywy dostaw ropy naftowej kształtują się tak ponuro, że w ciągu najbliższych 25 lat konieczny jest generalny przełom w amerykańskim przemyśle samochodowym”.

Jednakże menedżerowie tego przemysłu nie przykładali większej wagi do postępu technicznego i jeszcze dzisiaj amerykańskie samochody różnią się jedynie mało znaczącymi szczegółami.

Nie zrezygnowano dotychczas z ciężkich stalowych osi, ani z odlewanych z żelaza 8-cylindrowych bloków, ani z nieekonomicznych pojedynczych gaźników, ani z pompacyjnych form zewnętrznych.

Jeden z inżynierów z Detroit mówi: „Od 25 lat gramy w te same karty i to, co nazywamy



Dalszy ciąg ze str. 1

mywało się przede wszystkim z rolnictwa. Okres żywego rozwoju tego obszaru przypada na lata od połowy XV do połowy XVII wieku (Łódź liczyła wówczas około 70–90 domów skupionych przy kilku ulicach wokół Rynku i dzisiejszego Placu Kościelnego i 650–800 mieszkańców). Położone w odległości 1 kilometra na północ Bałuty składały się wówczas z kilku domów. Największą spośród osad leżących w obecnych granicach dzielnicy w tym czasie był Radogoszcz. Był tutaj dwór, zabudowania folwarczne, browar, karczma i młyn wodny, do którego należały też Rogi, oraz Łagiewniki, posiadające podobne obiekty wraz z należącą do nich niewielką wsią Modrzew.

Zniszczenia wojenne i zaraza II połowy XVII wieku spowodowały znaczny upadek gospodarczy okolicy. Poważnym zniszczeniem uległy Bałuty, straty poniosły Kały i Radogoszcz, wyludniły się Doly i Rogi. Wyjątek stanowiły Łagiewniki, które nie tylko nie poniosły strat, ale jeszcze się rozwinęły. Przyczyną takiego stanu rzeczy był fakt, iż osada ta pełniła ważną na tym terenie rolę kultową. Tutaj, w latach późniejszych powstał m.in. klasztor oo. franciszkanów. Stagnacja gospodarcza tego obszaru utrzymywała się do końca XVIII stulecia.

Pewne ożywienie gospodarcze okolicy następuje dopiero w okresie rządów pruskich i Królestwa Warszawskiego. Przyczyniło się do tego w znacznym stopniu wprowadzenie akcji osadniczej typu „olenderskiego”. Powstały wówczas osady: Zabieniec, Grabieniec, Antoniew. Rozwinęła się też w oparciu o miejscowy surowiec produkcja szkła. Powstały: Huta Szklana, Huta Radogóska i Huta Rogowska.

Podjęta w latach Królestwa Polskiego industrializacja tego obszaru, która objęła m.in. miasteczko rządowe Łódź nie objęła jednak pozostałych miejscowości, tworzących dzisiejsze Bałuty, stanowiących dobrą prywatną. Wywarła jednak korzystny wpływ na rozwój tych osad. Dodatkowym czynnikiem, przyspieszającym rozwój okolicy było podjęcie budowy w roku 1818 nowego traktu, biegnącego z Łęczycy do Piotrkowa, który to trakt połączył bezpośrednio Łódź ze Zgierzem, z pominięciem Łagiewnik. Rozwijało się budownictwo, rosła liczba mieszkańców. W okresie tym m.in. Bałuty liczyły 12 domów i 132 mieszkańców, Grabieniec 43 budynki i 348 mieszkańców, Zabieniec 58 domów i 509 mieszkańców, Radogoszcz 15 domów z 351 mieszkańcami. Przykładowo zaś Łódź liczyła wówczas 97 domów zamieszkałych przez 939 mieszkańców (Stare Miasto). Łącznie oblicza się, że sieć osadnicza na obszarze dzisiejszych Bałut w tym czasie liczyła około 400 domów i 3,8 tysiąca mieszkańców. W pierwszej połowie XIX wieku odróżniły się także Doly, oraz powstały nowe punkty osadnicze — kolonia Bałuty, Budy Zaczisze i kolonia Kargulec. Znaczenie zwiększył się również areal upraw, głównie kosztem obszarów leśnych.

Zasadnicze znaczenie dla losów i wyglądu przyszłej, największej dzielnicy naszego miasta miała burzliwa urbanizacja Bałut, która nastąpiła w drugiej połowie XIX stulecia. W tym czasie ówczesny dziedzic Łagiewnik zdecydował się wydzielić część ziem z folwarku Bałuty, przylegających bezpośrednio do granic Starego Miasta pod osadnictwo typu miejskiego. Inicjatywa ta trafiła na szczególnie podatny grunt wobec ogromnego przedulnienia Starego Miasta. W ten sposób zaczęła kształtować się żywiłowa osada Bałuty Nowe. Jej wytyczona sieć uliczna nawiązywała do sieci ulic miasta, centrum zaś stał się Bałucki Rynek, w którym zbiegały się trakt zgierski i łagiewnicki oraz nowo powstała szosa Aleksandrowska. Mimo braku określenia prawnego statusu osady, braku regulacji w niej stosunków własnościowych oraz licznych nadużyć i niedotrzymywania umów ze strony administratorów i właściciela, osada w bardzo szybkim tempie rozrastała się, osiągając w krótkim czasie liczbę ponad 100 budynków. Żywiłowy rozwój osadnictwa miejskiego na Bałutach stał się niemożliwy do opanowania. Bilskość miasta, taniość gruntów i wielokrotnie niższe komorne były magnesem, ściągającym tutaj zarówno rzemieślników z Łodzi, jak i rzesze ludności przybywającej tu w poszukiwaniu pracy w łódzkim przemyśle. Zaczęły mnożyć się nowe osady — Mikołajew, Marianów, Piaskowiec, Zubardz, powstały nowe folwarki — Nowiny (Marysin III) i Rogi. Także okoliczni właściciele gruntów rozpoczęli prywatną akcję osadniczą, dzieląc pola na place budowlane i wytyczając nowe uliczki, często zwane później od ich nazwisk. Zabudowa przekroczyła wkrótce granice osady, posuwając się wzdłuż ulicy Aleksandrowskiej, Zgierskiej i obecnej Wojska Polskiego. W połowie lat 70-tych ubiegłego stulecia zabudowa dzisiejszego obszaru dziel-

nicy liczyła już około 800 domów. W zabudowie mieszkalnej nie istniały tutaj żadne ograniczenia. Budowano według własnych upodobań i możliwości. Typową formą zabudowy stał się jedno-, dwu-, a nawet trzykondygnacyjny, pośpiesznie stawiane domy drewniane, o najczęściej jednolizbowych mieszkaniach, pozbawionych elementarnych warunków sanitarnych. Skutki tego procesu fatalnie rzutowały w okresie późniejszym na rozwój Bałut. Utrzymywanie ich pod administracją wiejską hamowało, wręcz uniemożliwilo prawidłowy rozwój osady. Nowe Bałuty nie miały przecież charakteru wsi. Zamieszkiwały je w przeważającej części robotnicy, wyrobownicy, rzemieślnicy i drobni kupcy. Z biegiem lat zaczęto osiedlać się też w Bałutach Starych i kolonii Bałuty, a postępujący nieustannie proces zabudowy coraz bardziej zacierał dawne granice między poszczególnymi miejscowościami. W ten sposób Bałuty w szybkim tempie stawały się dużym ośrodkiem. W roku 1907 liczyły blisko 2400 domów i 75 tysięcy mieszkańców.

W końcu ubiegłego stulecia pojawia się tutaj przemysł, zlokalizowany głównie w pobliżu rzek Łódki i Bałutki. Wymienić można w tym miejscu zakłady Biedermanna, Kynkela, browar Anstadta, Gelicha, a także największy na tym terenie kompleks przemysłowy — zespół fabryczny I.K. Poznańskiego. Na skutek ogromnego popytu na materiały budowlane powstała tutaj szereg cegielni. No początki naszego stulecia było ich 18. Mimo tych szybko idących zmian Bałuty nie przybierały charakteru osady przemysłowej. Ze swoją dziką, zabudową, tandetnym budownictwem, pozbawionym podstawowych urządzeń sanitarnych, zamieszkałe głównie przez niewykwalifikowany i niskokwalifikowany proletariatus, przez długi czas były synonimem brzydoty, nędzy i przestępczości. Sytuację pogarszał jeszcze fakt przymusowego osiedlania tutaj elementów przestępczych z Łodzi, tzw. „wyrokowców”.

Przez wiele lat mieszkańcy Bałut czynili starania o włączenie tej naturalnej i żywiłowo wyrosłej dzielnicy w obręb miasta. Dopiero jednak w roku 1906 włączono część terenów bałuckich, mianowicie Doly i fragment Zubardzia. Na rozwiązanie całości problemu czekać trzeba było do lat I wojny światowej, kiedy to na mocy rozporządzenia władz okupacyjnych w obręb miasta włączone zostały prawie wszystkie ówczesne tereny dzisiejszej dzielnicy. Liczba mieszkańców Bałut, rządzonych do tej pory prawami wsi, przekroczyła wówczas liczbę... 100 tysięcy. Pierwsze, skromne, nie mające wpływu na całokształt oblicza dzielnicy próby poprawy sytuacji, podjęte zostały w okresie międzywojennym. Powstały wtedy osiedla mieszkalne na Julianowie, Radogoszczu i Marysinie III. Zmodernizowano ciąg uliczny Kilińskiego — Franciszkańską, wybudowano wschodni odcinek obwodnicy kolejowej. Stopniowo zmieniała się zabudowa obszaru Starego Miasta. W miejsce dotychczasowego budownictwa drewnianego wkroczyły obiekty murowane. Otwarty został również w 1937 roku pierwszy publiczny park na Julianowie. Niemniej, mimo tych starań, nadal dominowała tutaj zabudowa prymitywna, chaotyczna, w większości drewniana, a na obrzeżach dzielnicy nawet typu wiejskiego. Takie warunki egzystencji proletariatus przyspieszały budzenie się świadomości robotniczej. Pierwsze, spontaniczne odruchy tego zjawiska obserwujemy już w roku 1861, kiedy to podczas wypadków ludzkiego w Łodzi, zdesperowany tłum drobnych tkaczy wdarł się m.in. do znajdującej się na Starym Mieście fabryki Prussaka, niszcząc znajdujące się tam maszyny i urządzenia fabryczne. To właśnie robotnicy z Bałut, pracujący w słyńczej z wielkiego wyzysku fabryce I.K. Poznańskiego, pod wpływem propagandy szerzonej przez kierowany wówczas bezpośrednio przez J. Marchlewskiego Związek Robotników Polskich, zaangażowali w Łodzi w roku 1891 wystąpienia związane z obchodami robotniczego święta 1-majowego. To oni w rok później aktywnie uczestniczyli w krwawych starciach kwietniowo-majowych, w czasie tzw. „buntu łódzkiego”. Ponownie wystąpili w okresie wzrostu fali rewolucyjnej 1905 roku, gdzie w wielu miejscach dzielnicy pojawiły się barykady. Tradycje walki o wyzwolenie społeczne chlubnie kontynuowane były w okresie międzywojennym. Wśród robotników bałuckich szczególnie silne wpływy miała Komunistyczna Partia Polski. Proletariat dzielnicy aktywnie uczestniczył we wszystkich wystąpieniach strajkowych robotników Łodzi a wśród licznego grona przywódców partyjnych złotymi głoskami jaśnieją nazwiska Szymona Harnama i Władysław Bytomskiej. Imiona ich noszą dzisiaj łódzkie ulice, zakład przemysłowy oraz osiedle mieszkaniowe.

Szczególnie tragiczny okres w dziejach dzielnicy stanowiły lata okupacji hitlerowskiej. Łódź znalazła się wśród obszarów „włączonych bezpośrednio”

do III Rzeszy. Podstawowym źródłem działania okupanta stał się terror, zbiorowa odpowiedzialność i specjalne prawo karne. Zapowiedzią poczyniła hitlerowców było dokonanie 10 listopada 1939 roku na Bałuckim Rynku pierwszej publicznej egzekucji. Tutaj także, na Radogoszczu, w murach dawnej fabryki zlokalizowano obóz więzienny, przez który przeszło w okresie ponad 5-letniej niewoli blisko 40 tysięcy więźniów. Połowa z nich zginęła z rąk załogi, bądź w egzekucjach w podłódzkich lasach. Radogoszcz kojarzy się z jeszcze jedną bezlitosną zbrodnią hitlerowców — wymordowaniem i spaleniem żywcem w przeddzień wyzwolenia Łodzi ostatniej grupy 2 tysięcy więźniów. W lu-

tach rozwijał się ruch oporu. Szczególnie aktywną działalność prowadziła PPR i jej zbrojne ramie — Gwardia Ludowa. Jeszcze w roku 1940, w tzw. dzielnicy „za gettem” zaczęły samorzutnie formować się grupy złożone z byłych członków KPP. W roku następnym grupy te weszły w skład „Frontu Walki za Naszą i Waszą Wolność”. W 1942 roku, po powstaniu PPR członkowie Frontu zgłosili swoje przystąpienie do partii. Prowadzili oni aktywną działalność, głównie z uwagi na miejscowe warunki, w formie sabotażu i dywersji w zakładach pracy, poprzez uszkadzanie maszyn i urządzeń, niską wydajność pracy, uszkadzanie i niszczenie gotowych wyrobów, oraz ob-

niowa (związana m.in. ze zburzeniem terenu getta). Brak było żywności i opału. Mimo tych trudności mieszkańcy dzielnicy czynnie włączyli się w nurt odbudowy. Dla Bałut nastał czas przemian. Proces ten zainicjowany został już w 1949 roku. Powstała wówczas obecna stylizowana zabudowa rejonu Rynku Staromiejskiego, wyrosły pierwsze bloki mieszkalne, a pasmo zabudowy przedłużone zostało wzdłuż ul. Zachodniej. Równolegle przystąpiono do budowy wielkiego osiedla im. Władysław Bytomskiej, liczącego 8,2 tysiąca izb mieszkalnych. Rozpoczęto modernizację ulic, rozbudowując zarazem sieć komunikacyjną. Rozwijała się sieć opieki zdrowotnej i socjalnej. Powstały nowe szpitale: im. H. Jordana i im. M. Konopnickiej, rozbudowano szpital zakaźny w Radogoszczu, oraz placówki lecznictwa otwartego. Wiele obiektów adaptowanych zostało na przedszkola i żłobki. Umasowiona została kultura i oświata, oraz ruch sportowy. Udostępniono mieszkańcom zamknięte niegdyś prywatne parki, utworzono nowe — Staromiejski i im. „Promieniści”. Połączek został dokonany. Przełomowym momentem dla dzielnicy stało się jednak wejście w życie w roku 1960 planu zagospodarowania przestrzennego Łodzi, którego opracowanie pozwoliło na bardziej racjonalne, niż dotychczas wykorzystanie terenów i ukształtowanie układu urbanistycznego, realizację inwestycji przemysłowych, rozwój urządzeń komunalnych i zaplecza usługowego. W świetle tego planu Bałutom przyznano rolę szczególną — właśnie wówczas ruszyło na wielką skalę bałuckie budownictwo mieszkaniowe i zaczęły kształtować się zręby przyszłej dzielnicy przemysłowo-magazynowej.

Twórcą kontynuacji realizowanych przeobrażeń było przyjęcie w 1971 roku przez Biuro Polityczne KC PZPR „Programu rozwoju i modernizacji miasta Łodzi” — intensyfikującego proces przemian, zapewniającego harmonijny rozwój miasta, rozbudowę i modernizację przemysłu, poprawę warunków pracy załóg, zwiększenie tempa budownictwa mieszkaniowego, usługowego i inwestycji komunalnych. Realizacja tych planów złożyła się na obraz dzisiejszych Bałut. Podstawowym czynnikiem, decydującym o obliczu dzielnicy jest przemysł. Współczesne Bałuty charakteryzują się dynamiczną rozbudową i rozwojem różnorodnych gałęzi produkcji. Obok zmodyfikowanych, ale mających bogatą przeszłość fabryk, jak przykładowo ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex”, czy też im. S. Harnama „Rena-Kord” — reprezentujących tradycję łódzkiej przemysłu, w okresie minionego 36-lecia powstało wiele nowych zakładów z branży elektrotechnicznej, maszynowej, chemicznej, budownictwa, spożywczej, poligraficznej, obuwniczej i innej. Są wśród nich takie znane zakłady, jak Fabryka Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „Elta”, Zakłady Tekstylno-Konfekcyjne „Teofilów”, Łódzkie Zakłady Obuwia Gumowego „Stomil” ZPS „Skogar”, zakłady „Famid”, „Zamet”, „Chemtex”, „Wuko”, „Famed”. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Fabryka Koronek „Fako”, „Zremb”, czy też Łódzki Kombinat Budowlany „Zachód” i podobny mu „Wschód”.

Już samo wyliczenie niektórych zakładów daje pojęcie o wielotorowości rozwoju przemysłowego Bałut, którego wyroby cieszą się nie tylko dużą popularnością na rynku krajowym, lecz ponadto eksportowane są do kilkudziesięciu krajów świata. Zarazem w dzielnicy mieści się wiele przedsiębiorstw i przedsiębiorstw.

Niemniej ważnym czynnikiem, decydującym o jak najwyższym zaspokojeniu podstawowych potrzeb społecznych jest intensywne rozwijanie budownictwa mieszkaniowego. Na Bałutach powstało kilka wielkich osiedli mieszkaniowych — Doly, Zubardz, Wielkopolska A i B, Teofilów A, B i C, Pojezierska, Inflancka, Zgierska-Stefana a w trakcie budowy są osiedla Limanowskiego-Prusa oraz Radogoszcz Wschód i Zachód. Zabudowie typu osiedlowego towarzyszy równoległe budowa zaplecza socjalno-usługowego — szkół, przedszkoli, żłobków, pawilonów handlowych, obiektów służby zdrowia, placówek kultury, sportowych itp. Jednocześnie prowadzone są remonty, modernizacja i porządkowanie elewacji starych obiektów. W latach 1960–1978 wydatkowano na ten cel 625 mln złotych.

Dzisiejsze Bałuty, zajmując wśród dzielnic łódzkich pierwsze miejsce pod względem wielkości — 63,7 km kw. i liczby mieszkańców — 243,8 tysięcy, drugie pod względem ilości zatrudnionych w gospodarce społecznej, czwarte pod względem gęstości zaludnienia.

I aż trudno uwierzyć w to, że ktoś kiedyś powiedział: „... i za sto lat Bałuty się nie zmienią”, widząc dzisiaj, jak bardzo się zmieniły.

MARIUSZ KULESA,
MAREK PAWŁOWSKI

Foto: W. Parys

Z DZIEJÓW BAŁUT

tym 1940 roku z części terenów dzielnicy okupant wyodrębnił oddzielną część — obóz dla ludności żydowskiej, łódzkie getto. Dla 220 tysięcy osób tej narodowości z Łodzi, okolicznych miast, a nawet z zagranicy, stało się ono miejscem śmierci, bądź punktem etapowym przed deportacją do obozów zagłady. W końcu 1942 roku hitlerowcy stworzyli jeszcze jedno miejsce masowej zbrodni — obóz dla dzieci i młodzieży! Z ogólnej liczby ponad 12 tysięcy blisko połowa poniosła śmierć na skutek ciężkiej, wyniszczającej organizm pracy, głodu, chorób, oraz sadystycznego traktowania przez nazistowskich „wychowawców”. Na Bałutach funkcjonowało również szereg innych obiektów, wchodzących w skład hitlerowskiego systemu wyniszczania i zagłady, np. więzienie dla kobiet w klasztorze ss. Urszulanek przy ulicy Teresy, Urząd Rasowy przy ul. Spornej i inne.

Mimo istniejącego terroru, na Ba-



Zamachów na życie Hitlera było kilka. Jeden z nich miał miejsce w 1939 roku. Przeważnie utrzymuje się, że inicjatorami jego byli wyłącznie Niemcy. Tymczasem okazuje się, że nie mniej ważną rolę odegrali w nim również Anglicy. Jednym z nich był Werner Knopp, przedwojenny reporter zagraniczny kilku dzienników angielskich. W czasie II wojny światowej pełnił funkcję oficera wywiadu brytyjskiego.

I.

Londyńczycy, którzy na wiosnę 1939 roku wgrzewali się w ogródki dawnego pałacu sprawiedliwości, nie mieli zapewne pojęcia, co oznaczała mała metalowa tabliczka, wisząca na drzwiach skromnego biura z napisem „Union Time”. Pod pokrywką agencji prasowej działała tu jedna z antywojennych organizacji brytyjskich.

„Union Time” zostało założone w lecie 1938 r. w tym czasie, kiedy stosunki między Wielką Brytanią a III Rzeszą układały się dość dobrze. Towarzystwo było finansowane i kierowane przez grupę ludzi, którzy starali się wy tłumaczyć rządowi brytyjskiemu konieczność stosowania wobec Niemców bardziej ostrożnej i konsekwentnej polityki. W miarę pogłębiania się kryzysu europejskiego, działalność „Union Time” coraz bardziej się rozprzestrzeniała. Zbięrała dla prasy i parlamentu brytyjskiego interesujące materiały, dotyczące sytuacji w III Rzeszy. Równocześnie popierała propagandę antyhitlerowską, działającą wewnątrz Niemiec, finansowała i współpracowała z niemieckim ruchem oporu i rozpowszechniała tajną prasę, występującą przeciwko Hitlerowi i jego przygotowaniom do wojny.

II.

1 maja 1939 r. w biurze agencji „Union Time” zadzwonił telefon. Kierownik agencji, Werner Knopp, sięgnął po słuchawkę.

— Tu sekretarz brytyjskiego Ministerstwa Transportu, Strauss. Przesyłam panu niezwykle gościnnie. Jest nim pani Hilda Monte. Przedstawiam panu interesującą propozycję. Warto się nad tym zastanowić. Proszę później do mnie zadzwonić.

W kilku minut później pani Monte była już w biurze.

— Co panią do mnie sprowadza? — zapytał Werner Knopp.

— Działam w niemieckim ruchu oporu. Naszym zdaniem jedynie usunięcie Adolfa Hitlera mogłoby uchronić świat od wojny. Przygotowaliśmy plan zamachu na Hitlera. Potrzebna jest nam wasza pomoc.

— Jaka?

— Pieniądze.

Decyzja, przed jaką stała się agencja „Union Time”, nie była łatwa. Werner Knopp namyślał się przez cały dzień. Przy następnej wizycie Hildy Monte powiedział:

— Nie znamy ani pani, ani jej towarzyszy. Nie mamy żadnego konkretnego dowodu na to, że istnieje taka grupa, o której pani mówiła i że przygotowuje zamach na Hitlera. Przedstawia panu ogólnikowy plan tego zamachu. Zanim więc zdecydujemy się na współpracę z wami, potrzebujemy dowodu, że to wszystko prawda.

Hilda Monte obiecała, że dostarczy żądanego dowodu. Będzie to sabotaż. Werner Knopp wręczył jej na pożegnanie część obiecanych pieniędzy. Resztę miała otrzymać na wiadomość o dokonaniu sabotażu.

III.

Werner Knopp skontaktował się ze swoim agentem w Niemczech i polecił mu zebrać dane, dotyczące Hildy Monte. Wiadomości, jakie wkrótce napłynęły z Niemiec do Londynu potwierdziły, że Hilda Monte należała rzeczywiście do niemieckiego ruchu oporu, utworzonego przez

grupę socjalistów, zwalczających Hitlera i jego reżim.

19 lipca 1939 roku Werner Knopp otrzymał z Dantli list, podpisany literą „A”. Treść jego była następująca:

„Starek „Berlin”, wynajęty przez niemieckie władze wojskowe dla przewożenia materiału wojennego do Gdańska, opuścił Swinemünde 18 lipca. Ładunek składał się z karabinów, karabinów maszynowych, dział przeciwpancernych i przeciwlotniczych oraz amunicji dla niemieckich bojówek w Gdańsku. Na pokładzie znajdowało się 60—70 żołnierzy. Wkrótce po wypłynięciu starek otrzymał telegraficzny rozkaz powrotu do portu, skąd zabrał 900 ochotników dla bojówek.

O jakiejś 20 kilometrów od wybrzeża na statku nastąpił wybuch, który poczynił duże straty wśród ludzi i zniszczył znaczną część ładunku. Według informacji niemieckiego Lloyd’a, starek wiał robotników rolnych i maszyny rolnicze do Prus Wschodnich.”

W kilka dni później zgłosił się do „Union Time” autor listu. Był to Niemiec, nieco więcej niż średniego wzrostu, blondyn, w wieku około 20 lat. Nie podał swego nazwiska, lecz przytoczył jak najdokładniej ze szczegółami rozmowę Hildy Monte z kierownikiem agencji. Był to jeden z upatrzonych głównych spiskowców, którzy mieli dokonać zamachu na Hitlera. Przedłożony przez niego plan został omówiony w najdrobniejszych szczegółach i zaakceptowany przez agencję. Oczywiście pozostawiono spiskowcom wolną rękę w przeprowadzeniu ewentualnych zmian w planie, o ile będą uważali to za konieczne.

9 listopada 1939 roku obiegła lotem błyskawicy po całym Niemczech wiadomość o zamachu na życie Adolfa Hitlera. W monachijskiej piwiarni, w której Führer, w rocznicę puczu, przemawiał, podłożono bombę. Wprawdzie wybuchła ona w sześć minut po odejściu Hitlera.

Przygotowany przez patriotów niemieckich zamach nie dosięgnął wodza III Rzeszy, ale spowodował znaczne straty w ludziach, przebywających w czasie przemówienia Führera w piwiarni monachijskiej. Siedmiu hitlerowców straciło życie, a 63 zostało ciężko rannych. Ogromne wnętrza Bürgerbräukeller, mogące pomieścić 2 tysiące osób, było zupełnie zniszczone. Za wykrycie spiskowców wyznaczono olbrzymią nagrodę. Więzienia zapełniły się podejrzanymi o udział w zamachu.

Przez dwa tygodnie hitlerowski minister propagandy, Joseph Goebbels, oskarżał Anglię o przygotowanie i dokonanie zamachu. Dnia 21 listopada 1939 roku prasa hitlerowska doniosła o aresztowaniu niejakiego Georga Elsera, który miał przyznać się do udziału w zamachu na Hitlera.

Kłam temu twierdzeniu prasy hitlerowskiej zadal znany amerykański dziennikarz i historyk, William L. Shirer. W książce pt. „Powstanie i upadek III Rzeszy”, opartej na tajnych dokumentach hitlerowskich, stwierdził, że Elser badany przez Gestapo zeznał, iż dwóch nieznanych mu ludzi odwiedziło go w drugiej dekadzie listopada, a więc po dokonaniu zamachu na Hitlera, w obozie i za cenę uwolnienia z Dachau zaproponowało mu udział w zamachu na kilku dygnitarzy hitlerowskich, którzy dopuścili się zdrady wobec Führera. Jego zadanie miało polegać na spreparowaniu bomby zegarowej, którą zamachowcy mieli podłożyć w Bürgerbräukeller w czasie zebrania członków partii hitlerowskiej. Georg Elser zrobił bombę i wręczył ją — jak się można było tego spodziewać — dwóm gestapowcom. Elser — zwolniony z obozu — zgodnie z instrukcjami mocodawców, zamierzał przekroczyć granicę szwajcarską, gdy został aresztowany.

Jako współników Georga Elsera uwięziono dwóch oficerów brytyjskiego Secret Service: majora R.H. Stevensona i kapitana S. Payne Besta. Za pośrednictwem oficera wywiadu holenderskiego, porucznika Kloppe, Anglicy nawiązali kontakt z oficerem naczelnego dowództwa Wehrmachtu, kapitanem Schemmelem, który wtajemniczył ich w rzekomy spisek genera-

łów hitlerowskich przeciwko Führerowi. Po udanym zamachu nowo utworzony rząd niemiecki miał zaproponować Anglii zawarcie pokoju.

Była to prowokacja, zorganizowana przez Waltera Schellenberga. Zadanie, jakie sobie Schellenberg postawił, polegało na uzyskaniu od oficerów brytyjskich wiadomości o spiskujących przeciwko Hitlerowi generałach niemieckich.

Georg Elser, oskarżony i badany przez Himmlera, zeznał, iż został namówiony do wzięcia udziału w zamachu nie na Hitlera, lecz na kilku

mównicą Hitlera i podium, zajmowanym przez dostojników partyjnych.

Całe przedsięwzięcie ułatwiała galeria o długości około dwóch i pół metra, biegnąca wzdłuż ścian piwnicy, poniżej sklepienia. Umożliwiała ona łatwy dostęp do szczytu centralnego filaru, a jej podłoga i dość gruby filar zasłaniały znakomicie przed niepożądaną obserwacją znajdującego się tu zamachowca. Najwięcej trudności sprawiało wybiecie otworu, w którym należało umieścić materiał wybuchowy na szczycie filaru. Było to dość trudne przedsięwzięcie. Musiało bowiem zostać wykonane jak najciszej i w tak dyskretnym miejscu, ażeby nikt nie mógł go dostrzec.

Około połowy października 1939 roku „A” ukończył swoje prace przygotowawcze w piwiarni. W kilka dni później wyjechał do Frankfurtu, skąd przywiózł materiał wybuchowy i dwa precyzyjne zapalniki zegarowe. Materiał wybuchowy był ukryty w rurkach imitujących izolację grubych przewodów elektrycznych. Zapalniki zostały wykonane w warunkach konspiracyjnych w laboratorium fabryki farb. Przywieziono również płyty korkowe dla wyłożenia ścian otworu. 1 listopada 1939 roku został założony ładunek wybuchowy, a w dwa dni później wystawiono jego zapalniki. Teraz tylko pozostało puszczanie mechanizmu w ruch. Mogło to nastąpić dopiero wtedy, gdy w oznaczonym dokładnym co do minut czasie Hitler wystąpi z przemówieniem okolicznościowym.

Gdy ogłoszono, że Hitlera w piwiarni monachijskiej zastąpi jego zastępca, Rudolf Hess, spiskowcy mimo to nie zrezygnowali z planu zamachu. Byli przekonani, że jest to tylko podstęp dla odwrócenia uwagi od ewentualnego nalotu bombowego aliantów na Monachium. W tym celu zmieniano też kilkakrotnie datę zjazdu, ogłaszając raz, że odbędzie się 8 listopada, a później 9 i znowu 8 listopada.

„A” zrozumiał, iż nie będzie mógł dotrzeć niepostrzeżenie do zapalników w decydującej chwili. Data i godzina zjazdu były niepewne. Trzeba więc było miejsce, w którym znajdował się ładunek wybuchowy, uczynić jeszcze bardziej niedostrzegalnym. Usunął pewną część tynku zasienającego otwór i zastąpił go pomalowanymi na kolor zielony metalowymi drzewczkami z napisem: „Zapawowe bezpieczniki”. W ten sposób miejsce to upodobił barwą do kilku innych znajdujących się w piwiarni.

9 listopada 1939 roku wszystko wskazywało na to, że Hitler tego dnia będzie przemawiał. Świadczą o tym wzmocnienie ochrony przeciwlotniczej miasta i obsadzenie przez silne oddziały Gestapo piwiarni i jej okolicy. O godzinie 13.00 dyżurny oficer SS zawiadomił gromadzących się już w piwiarni hitlerowców, iż Führer będzie przemawiał tego dnia, lecz o kwadrans wcześniej, niż zapowiadał.

„A” natychmiast pod pretekstem sprawdzenia bezpieczników, nastawił mechanizm zapalników na godzinę 21.21. Zwykle Hitler zaczynał swe przemówienie o godzinie 20.30, a kończył o 22.00. Potem rozmawiał jeszcze jakiś czas z dygnitarzami partyjnymi, a o 22.45 opuszczał piwiarnię.

Po puszczeniu w ruch mechanizmu, „A” natychmiast opuścił piwiarnię. Przekroczył granicę i znalazł się we Włoszech. Na drugi dzień przeczytał w gazecie wiadomość, że bomba eksplodowała, ale Hitler ocalał. Przechwiałki Gestapo, że wykryto sprawców były wierutnym kłamstwem. Wszyscy zamachowcy, którzy brali udział w spisku, ocalili.

Werner Knopp później dowiedział się, że Hitler przybył do piwiarni wcześniej niż zamierzał. Przemówienie skończył dokładnie o 21.05. Opuścił piwnicę o 21.15. Wybuch nastąpił punktualnie o godzinie 21.21.

VI.

Co stało się z „A” — nie wiadomo. Hilda Monte, po wyładowaniu aliantów we Francji pracowała w wywiadzie. Pochwycona przez Gestapo była więziona i torturowana. Nie chcąc wydać swoich towarzyszy, popełniła samobójstwo.



wrogich jemu dygnitarzy nazistowskich. Nie utrzymywał żadnego kontaktu z oficerami brytyjskiego wywiadu, wcale ich nie znał i żadnego z nich nigdy nie widział.

Do rozprawy sądowej nie doszło. Dwaj oficerowie brytyjscy spędzili w obozach koncentracyjnych pięć lat. Georg Elser został również osadzony w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, gdzie zginął 16 kwietnia 1945 roku, podczas bombardowania obozu. Oficer wywiadu holenderskiego, Kloppe, ciężko ranny w czasie aresztowania, zmarł po kilku dniach.

V.

Werner Knopp o wszystkim dowiedział się z prasy. Nie znał bliższych szczegółów spisku. Dopiero w marcu 1940 roku dowiedział się więcej i to od samego „A”.

Na podstawie zrzeczenie sfabrykowanej legitymacji, główny spiskowiec, „A”, jako elektryk dostał się do piwiarni „Bürgerbräukeller”. Zbadał piwnicę, w której Hitler w rocznicę puczu przemawiał corocznie i stwierdził, że miejsce to w kształcie prostokąta nadaje się idealnie do wykonania zamachu. Führer przemawiał zawsze z trybuny, umieszczonej pośrodku długiego boku piwnicy. Sklepienie jej spoczywało na przebiegającym nad mównicą szerokim trawersie. Dla założenia skomplikowanych przewodów elektrycznych trzeba było najpierw zapoznać się dokładnie z planem sytuacyjnym piwnicy. Założony na podtrzymujących trawers centralnym filarze silny ładunek wybuchowy powinien był spowodować zawalenie się całego sklepienia środkowego, położonego właśnie nad

Początek 1939 roku w całym kraju zaznaczył się wzmożonymi przygotowaniami do wojny. W Łodzi tuż po Nowym Roku odbyły się wielkie ćwiczenia obrony przeciwlotniczej, mające na celu m.in. sprawdzenie sprawności wygaszania światła przez miesz-

PRZED WRZEŚNIEM...

kańców w wypadku nocnego nalotu nieprzyjaciela na miasto. W związku z tym ludność masowo zaopatrywała się w czarny papier do zastaniania okien. W piwnicach wielu domów z polecenia władz urządzano prowizoryczne schrony przeciwlotnicze.

Jednym z wielu objawów zaostreżenia się konfliktu polsko-niemieckiego były mnożące się wypadki zbiegostwa młodych Niemców z terenu Polski do

Rzeszy. Ucieczki te organizowali agenci Hitlera dla celów politycznych. Jak wynikało ze sprawozdania Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi, w czasie od 1 marca do 30 czerwca 1939 roku z obszaru województwa łódzkiego zbiegło do Niemiec około 3.000 osób. W większości byli to działacze prohitlerowskiego Niemieckiego Związku Ludowego w Polsce, niemiecka młodzież szkolna i sportowcy. Wśród uciekinierów znaleźli się także właściciele przedalni bawelny w Łodzi na Dąbrowie, baronowie Achim i Armin Haeblerowie.

W prasie miejscowej poczęły pojawiać się informacje o szerzącej się dywersji i szpiegostwie na rzecz III Rzeszy, a także o antypolskich wystąpieniach Niemców w Łodzi i okolicy. „Liczba spraw o obrazę narodu polskiego przez Niemców jest coraz większa — pisał „Kurier Łódzki”. — Wczoraj Sąd Okręgowy w Łodzi znowu rozpatrywał szereg spraw na tym tle”. W samym tylko II kwartale pociągnięto w Łodzi 150 osób narodowości niemieckiej do odpowiedzialności za łżenie narodu i państwa polskiego. Starostwo Grodzkie ukarało kilkudziesięciu Niemców grzywną za no-

szenie mundurów partyjnych (kurtki kroju wojskowego oraz białe pończochy). Organa policji łódzkiej wykryły w kilku punktach miasta składy broni i amunicji, a także radiostację odbiorczą typu niemieckiego.

Odpowiedzią społeczeństwa polskiego w Łodzi na rozliczne prowokacje miejscowych Niemców była zdecydowana walka z kolportażem prasy i literatury III Rzeszy oraz bojkot filmów niemieckich. Obchodzone jak co roku Święto Morza, rocznica bitwy grunwaldzkiej i Dzień Żołnierza stały się okazją do wielkich manifestacji antyniemieckich.

Mimo widocznych na każdym kroku przejawów patriotyzmu społeczeństwa, nastroje jego w lecie 1939 roku dalekie były od optymizmu.

Miasto w tych dniach krytycznych żyło zbiórką na karabin maszynowy. Fundusz Obrony Narodowej. Oprócz datków pieniężnych łodzianie składali na ten cel złote obrączki, pierścionki, zegarki, srebrną zastawę stołową i inne kosztowności. Gazetę podkreślały z uznaniem, że niedawno zmarły przemysłowiec łódzki Henryk Grohman, zapisał w swoim testamentie 185 tys. złotych na cele związane z obroną kraju.

Ostatnie dni sierpnia przebiegały w Łodzi pod znakiem intensywnych przygotowań obronnych. W parkach, na skwerach i placach miejskich pośpiesznie budowano prowizoryczne schrony przeciwlotnicze. Przy ich urządzaniu pracowali ochotniczo tysiące łodzian. Raz po raz odbywały się w mieście ćwiczenia biernej obrony przeciwlotniczej.

Życie toczyło się jednak nadal. Łodzianie wracali z urlopów, zbliżał się rok szkolny. Teatry przygotowywały się do nowego sezonu. Wychodzący w Łodzi „Głos Poranny” zachęcał czytelników: „Urlop w słońcu na plaży w Carmen Silva połączony ze zwiedzaniem Bukaresztu i Konstantynopola — 3.IX—24.IX — 199 złotych”.

Zarządzenia mobilizacyjne wkrótce rozwiąły resztki nadziei na pokojowe uregulowanie zatargu polsko-niemieckiego. Równocześnie z obwieszczeniami mobilizacyjnymi na miejsce ukazała się odezwa wojewody łódzkiego, Henryka Józefskiego, skierowana do mieszkańców województwa: „Nadeszła chwila historyczna. Cały naród jest gotów dać ofiarę z życia i krwi w obronie honoru i granic Rzeczypospolitej Polskiej (...)”.

W dalszej części odezwy wojewoda łódzki wzywał mieszkańców do zachowania spokoju, dyscypliny, ostrze-

gając, że wszyscy, którzy będą działali na szkodę państwa, zakłócili spokój i łamali dyscyplinę, zostaną surowo ukarani.

W niebywałym napięciu oczekiwali łodzianie wybuchu wojny. Nastąpiło to o świcie 1 września. Prasa poranna z tego dnia nie zdążyła podać wiadomości o agresji niemieckiej na Polskę. Mieszkańcy dowiedzieli się o tym z radia. Dopiero nazajutrz ukazały się w gazetach odpowiednie komunikaty i odezwa prezydenta Ignacego Mościckiego do narodu.

Tegoż samego dnia spadły na Łódź pierwsze niemieckie bomby. Samoloty agresora bombardowały m.in. Dworzec Kaliski, Widzew, Julianów, burząc szereg budynków i powodując ofiary w ludziach. Radio ogłaszało raz po raz alarmy lotnicze.

5 września, na skutek załamania się obrony polskiej na linii Sieradz — Piotrków Tryb., zaczęła się ewakuacja z miasta różnych urzędów i instytucji. Nazajutrz zaś nastąpiła masowa ucieczka łodzian, a zwłaszcza młodzieży, przed zbliżającą się armią niemiecką. W sobotę, 9 września Łódź została opanowana przez hitlerowców.

WACŁAW PAWLAK

Bardzo często wystarczy ma-
lutka, jednozdaniowa wzmianka
w gazecie, żeby wywołać cały
potok myśli i refleksji, a nie-
kiedy zwyczajnej złości krwi.
Czytam na przykład w „Lite-
raturze” z 21 sierpnia, że w
roku bieżącym sprowadziliśmy
z importu 200 tysięcy sztuk...
widel do siana. Zbudowaliśmy
Nową Hutę, Hutę Katowice i
kilka potężnych zakładów me-
talurgicznych, a widły musimy
kupować za granicą? Czy na-
prawdę musimy?

Wzmianka o widłach — jak
zresztą prawie wszystkie tego
typu wiadomości — nie ma
żadnego dalszego ciągu. A mo-
że warto by sprawę wyjaśnić,
skoro szukamy oszczędności de-
wizowych i bardzo napiętym
wysiłkiem próbujemy zrówno-
żyć import z eksportem?

Może by też warto wyjaśnić,
czy każdy polski film musi roz-
grywać się a to w Rio de Ja-
neiro, a to na Filipinach, albo
— jak niesławnej pamięci se-
rial „Życie na gorąco” — we
wszystkich stolicach świata na

raz? Nasz znakomity aktor,
Leon Niemczyk, mówi w wy-
wiadzie dla „Odgłosów”, że te-
go lata miał piękny urlop, bo
nakręcał polski film na Wys-
pach Kanaryjskich i na bie-
gunie. — „Czy może być pięk-
niejszy urlop?” — pyta zado-
wolony aktor.

telewizyjnymi filmami czeski-
mi, które są robione kameral-
nie, w scenarii rodzimym, bez
Tybetów i Niagar, a tyle za-
wierają ludzkiej prawdy. Więc
może i u nas należałoby zwró-
cić większą uwagę na meryto-
ryczne wartości scenariusza, niż
na jego potencjalną nośność tu-

URLOP NA BIEGUNIE

Rzeczywiście, piękna rzecz.
Czy film będzie równie piękny
i czy zwróci koszty kilkudziesię-
ściu takich urlopów, liczone
w twardej walucie? Wszyscy
kierownicy (przepraszam: dy-
rektorzy; dyrektorów mamy je-
szcze więcej niż magistrów, a-
le co nam to szkodzi?), otóż
wszyscy dyrektorzy kin zgodnie
stwierdzają, że na polskich fil-
mach frekwencja jest najniż-
sza. Osobiście przepadam za

rytyczną dla ekip filmowych.
A może i to warto wyjaśnić
— po co zakupiliśmy za ciężkie
dewizy licencję na produkowa-
nie w kraju singerskich mas-
zyn do szycia, skoro nasze
„Łuczniki” cieszyły się i cieszą
dostatecznie dobrą sławą, są
sprzedawane za granicę i tylko
daj Boże każdej naszej amato-
rze własnoręcznego obszywania
rodziny, żeby ją było stać na
zakup tego „Łucznika”.

Przed paroma miesiącami pi-
sałem o tym, że importujemy
męskie koszule z Holandii dla
najlepiej zarabiających łodzian
i perfumy z całego świata dla
łodzianek. Tamtą listę i
w ogóle te wszystkie znaki za-
pytania każdy z nas mógłby
mnożyć w oparciu o własne
obserwacje. Czy nie możemy
żyć bez fantastycznych konia-
ków po tysiąc złotych, czy nie
było groźniejszych dziur na
rynku do importowego załata-
nia?

Nie wiem, komu zadaje te
pytania, kto powinien na nie
odpowiedzieć. Ale wciąż ludzę
się nadzieją, że nie są to słowa
rzucane w próżnię, że dotrą do
miarodajnych biur i do wła-
ściwych „decydentów”, że —
kto wie — może nawet ktoś
zechce zstąpić z koturnów Wiel-
kiej Problematyki i rzucić nam
parę słów wyjaśnienia?

CWIEK

TELEWIZJA

Historia, która ostatnimi dniami przy-
spieszyła swój bieg i wciąż nawarstwia
nowe wydarzenia, domaga się zmian
w sposobach myślenia i mówienia. Wiado-
mo, iż takie zmiany nie mogą nastąpić z
dnia na dzień. Chciałoby się jednak, aby
konieczne przecież i przecież zauważalne,
modyfikacje społeczno-swiadczeniowe
znalazły swój wyraz, już i zaraz, także
w telewizji.

Krytykowano ją ostatnio śmielej, ostro
i bez eufemizmów (nawet na małym ekr-
anie) w rozmaitych wypowiedziach, przede
wszystkim za zbyt łatwy optymizm, za na-
der bojaźliwość towarzyszenie polskiej
teraźniejszości, za prezentowanie modelu
kultury mało przystającego do rzeczywi-
stych potrzeb i celów. Homogenizacyjne
mechanizmy telewizji prowadziły w kon-
sekwencji do tego, że nawet programy
wybijające się ponad serialowo-poradni-
kowo-festiwalową codzienność spychane
na marginesy czasowych ram emisji, prze-
mykały przez ekrany niemal niezauważo-
ne. Wielokrotnie na tych łamach pisałem
(pisałam i inni) o praktykach programo-
wych upychania wartościowych audycji
po kątach, albo dublowania ich na rów-
noległym kanale lekkostrawnymi papkami
westernów bądź trzeciorzędnych komedy-
jek. Pisałem także o zadomowieniu się w
TvP etatowych gadaczy (z tej praktyki
Tadeusz Piłkusiński w „Polityce” sprokuro-
wał swój kamień filozoficzny), który
jednostrojnym tonem dawno już brzmi dyso-
nansowo, żeby nie powiedzieć fałszywie.
Pisałem o nadmiernej centralizacji poczy-
nań programowych i organizacyjnych,
która doprowadziła do tego, że regionalne
ośrodki tv zamiast kształtować telewizyj-
ną rzeczywistość, wypełniały zamówienia
redakcji naczelnych z Woronicza. Oczy-
wiście, powyższe uwagi można podważać
podając różne wyjątki, a to z zakresu
teatru tv, niekiedy publicystyki, reportażu
etc. Jakże to są wyjątki! Niechaj zaświad-
czy egzemplifikacja Olszyna, prezento-
wanego laurkowo z okazji festiwalu wi-
dowskiego: fragment sztuki tamtejszego

teatru, jakaś rozmowa i dużo miejscowego
folkloru w plenerze.

Krytyki TvP można by mnożyć, a na
spisanie wszystkich nie starczy przysło-
wiowej byczej skóry. A jest jeszcze jedna
sprawa dużo ważniejsza. Ta mianowicie,
iż owa ogromna i odpowiedzialna machi-
na społeczno-oddziaływania jaką jest
telewizja funkcjonowała bez społecznych
weryfikatorów. Myślę tu o weryfikacji
publicznej, bo przecież tv jako instytucja
podlega rozmaitym strukturalnym (że się tak

IDĘ NA CAŁOŚĆ

wyrażę) administracyjnym, gdzie — co
pewne — takie sprawdziany się prowa-
dzi i to z dnia na dzień. Chcę przez to
powiedzieć, że nie istnieje u nas krytyka
telewizyjna z prawdziwego zdarzenia;
przecież nie można do niej zaliczyć tych
kilku (trzech albo czterech) felietonów
jakie ukazują się w tygodnikach, podobnie
jak nie można brać pod uwagę recenzji
z teatru poniedziałkowego, które rzadko
dotyczą społecznego rezonansu sztuki, sku-
piając swą uwagę na wartościach war-
sztatowo-formalnych. Co ja zresztą będę
pisał o krytyce telewizyjnej, jeśli nie
istnieje nawet odpowiednia informacja o
programie. Istnieje natomiast — a jakże
— statystyczny telewizor (OROP się kła-
nia, należy liczyć, że z zażenowaniem),
który przesyła życzenia z piosenką dla
teściowej, który nachalnie żąda przeboju
pt. „Słońce Jamajki”, i który chce trzy
razy oglądać śmierć Rudiego. Telewizjo,

takiego masz telewizora na jakiego zasłu-
żyłaś! Niekiedy nawet odbiorcy tego nie
wytłumaczają. Otóż sąsiad zakupił był so-
bie ostatnio kolorowy telewizor, który w
żaden sposób nie chce odbierać progra-
mów w kolorze, daje za to świetny obraz
czarno-biały.

Telewizja w tych dniach często wpro-
wadzała korekty do swoich programów.
Tym razem przyjmowaliśmy to ze zro-
zumieniem. Choć czasem były to — jakże
typowe — zamiłowania siekierki na kijek. Czy
obejrzący najpierw w skupieniu Dzien-
nik muszę potem oglądać jakąś okliwą
historijkę o Jeremim albo zwierzątku (tak-
że warsztatowo) przypowieść o Majepe?
Jeśli jest czas na trzykrotne powtórzenie
ostatniego odcinka „Pogody dla bogaczy”,
mogłoby się znaleźć czas na powtórzenie —
niedocenionego przecież przez TvP — fil-
mu Petelskich „Na własną prośbę”. Była
to wprawdzie deformacja społecznych, od-
ważna i nie pozbawiona śmiałości, de-
formacji o których dzisiaj wiele się mówi.
A takich dzieł znalazłoby się w dotych-
czasowych dokonaniach TvP wiele. Dzien-
nik Tv — panowie — nie załatwi wszyst-
kiego.

Na koniec, zatem z konieczności krótko,
o spektaklu w reżyserii Jerzego Wójcika
pod tytułem „Pyłek w oku”, który przy-
gotował Ośrodek Łódzki TvP. Mimo nieco
pretensjonalnej tytułowej metafory i wą-
tej fabuły (w opowiadaniu K. Filipow-
icza, którego spektakl jest adaptacją, są
to sprawy drugorzędne) Wójcik wraz z
całym zespołem łódzkich aktorów stwo-
rzył widowisko, które trzeba uznać za
bardziej niż udane. Filmowo-telewizyj-
ne (a nie teatralne, co będę pisał w za-
szłości) środki wyrazu wydobły psycholo-
giczną prawdę sytuacji, w której znaleźli
się bohaterowie sztuki. Prawda ta jest
nam bliższa dzisiaj o tyle, o ile stanowi
analizę stanu świadomości lamtych dni.
O faktach bowiem możemy poczytać w
podręcznikach.

GRZEGORZ GAZDA

Bardzo mi się podobało, jak uśmiechał się na moskiewskim
stadionie Władysław Kozakiewicz, kiedy zdobywał złoty olim-
pijski medal i rekord świata. Podobno mi się też piłkarz, kiedy
po strzeleniu gola demonstruje przed publicznością swoją ra-
dność, podnosi do góry ręce w zwycięskim geście, zbiera gratula-
cje od kolegów z boiska. Nie wszyscy się jednak cieszą. Inni
przyjmują zwycięstwo w skupieniu. Inni jeszcze płaczą z rado-
ści i szczęścia, jak choćby Sara Simeoni, po zdobyciu złotego me-
dału w skoku wzwyż. Trudno spodziewać się, aby Jacek Wszoła
promieniał z radości; choć zdobył srebrny medal, to stracił zło-
to i rekord świata.

W poolimpijskich rozważaniach wielu zaczęło nagle załamy-
wać ręce nad biednymi dziećmi, które nawet złote medale przy-
mowały z powagą. Litowano się nad Anitą Jokielówną, że buzię
miała spiętą, że ciężar odpowiedzialności był zbyt wielki, jak na
jej wątłą, dziecinne jeszcze ramiona. Litowano się nad młodzie-
kami gimnastyczkami, że takie poważne, takie biedne, psychicz-
nie obciążone walką. A przecież Nadia Comaneci też miała czter-
naście lat, gdy zdobywała złote medale i wyrosła dziś na wcale
ładną dziewczynę, która wytrwale stawiała czoła gimnastycznej
młodzieży. Skąd więc to nagle załamywanie rąk?

Pamiętam również wielką burzę o utraconą młodość krakow-
skich uczniów trenowanych przez Jacka Choynowskiego. Dziś,
kiedy Agnieszka Czapkówna, wychowanka Jacka Choynowskie-
go, przywołała z Moskwy brązowy medal, nikt jakoś nie zastana-
wia się nad tym, że „straciła dzieciństwo na treningach”. Zresz-
tą ona sama twierdzi, że „sport i trening są dla niej wszystkim”.
Więc może byłoby stosowne w tym momencie zastanowić się, czy
te utyskiwania są na miejscu i czy mają w ogóle jakikolwiek
sens.

Do zajmowania się sportem nikt nikogo u nas nie zmusza. Je-
rzy Zmarzlik słusznie przypomina w „Przeglądzie Sportowym” o
odpowiedzialności lekarzy. Kazimierz Szerba pojechał do Mo-
skwy z ropiejącymi kolanami i zębami. Kto mu na to pozwolił?
Chyba nikt go do wyjazdu siłą nie zmusił. Henryk Pielesiak
miał nagniotek i odparzoną stopę, „... przez całą noc był z

UŚMIECH NA STADIONIE?

bólu” — pisał J. Zmarzlik i dodaje: „Nie tylko chodzenie, ale na-
wet najmniejsze poruszenie stopą sprawiało mu nieludzkie
trudności. W takich warunkach trudno osiągnąć najwyższą for-
mę”. Krzywdząca decyzja sędziów była więc dla niego wyjawie-
niem, bo gdyby nawet awansował nie mógłby stanąć do dalszej
walki. Ale, czy w Moskwie nie było lekarzy i trenerów? Broni-
sław Malinowski ma w wyniku biegania kłopoty z kregostępem.
Jest to skutek nierównomiernego obciążenia w czasie biegu. Ale
jest tego świadom. Wie, że jest to cena, jaką płaci za sukcesy
na bieżni. Sport już dawno przestał być tylko radością życia,
jest ciężką, czasem ponad siły pracą. Jeśli jednak chce się mieć
sukcesy, trzeba tę pracę wykonać.

Dorośli, oczywiście, odpowiadają sami za siebie. Inna sprawa
z dziećmi. W niektórych dyscyplinach nie można osiągnąć wyni-
ków na światowym poziomie, jeśli nie rozpocznie się pracy już
w dzieciństwie. Zazdrościmy często znakomitych, mistrzowskich
w skali świata, wyników sportowców z NRD. Ale te wyniki za-
władzają oni właśnie temu, że szkołą swoich sportowców od
najmłodszych lat. Sami zresztą też zakładamy szkoły mistrzów
sportu i jakoś nie słyszałam, aby kierowano tam młodzież bez
zgody rodziców. O coż więc chodzi?

Można się dziwić rodzicom, że godzą się na to, ale to już ich
sprawa. Można się dziwić, że rodzice zachęcają swoją pociechę,
aby zajmowała się sportem. Tylko, że nie z tego nie przyjdzie,
bo przecież rodzice czynią się w takich decyzjach kierują. Sława
przyszłych mistrzów, mistrzów, którymi mogą być ich dzieci,
możliwością zobaczenia świata, czego na pewno nie doświadczą
równieśnicy ich pociechy, nie czyni się nie wyróżniający. Wysokości
nagród i apanaży? Atrakcyjnością sportowego życia? Każdy ro-
dzic marzy o tym, aby jego dzieci osiągnęły wysoką pozycję, aby
czymś się wyróżniały, aby wzniosły się ponad przeciętność. I jest
to naturalne, tak jak naturalne jest zainteresowanie się sportem
i chęć w nim uczestniczenia. Jednym wystarczy, że sobie pobie-
gają po boisku, pokopają piłkę, porzucą oszczepem. Innym ma-
rzą się medale i laury. I my te marzenia aprobujemy, gdyż ina-
czej 16-letnia Agnieszka Czapk nie otrzymałaby Brązowego
Krzyża Zasługi za zdobycie brązowego medalu olimpijskiego. In-
ni na takie odznaczenie będą czekać długie lata też nielekko
pracując. I, być może, się nie doczekają.

Nie rozumiem tych narzeków i utyskiwań. Widzę w nich poza
tym niekonsekwencję. Bo, albo domagamy się od naszych spor-
towców medali i rekordów, a te same nie przyjdą, albo płacemy
nad ich ciężkim losem. Może byłoby się warto na coś zdecy-
dować!

BOGDA MADEJ

1/3 mini magazynek

SEKSUOLOG-AMATOR

4 bm. o godz. 18,15 na skrzy-
żowaniu ul. Narutowicza i Sien-
kiewicza doszło do nieporozumie-
nia. Flak 125 skręcający w Naru-
towicza w lewo wymusił pierw-
zeństwo na Ładzie, która skrę-
cała z Narutowicza w Sienkiewi-
cz. Obyło się bez fizycznego
kontakty, tyle, że ruch został nie-
co zakłócony.

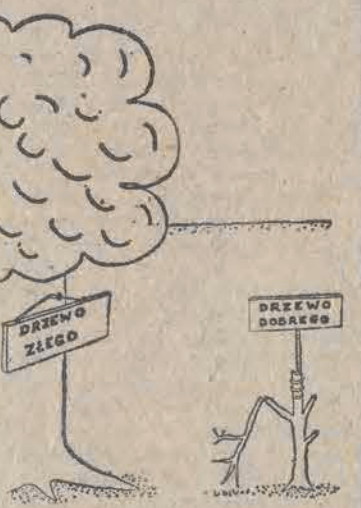
Zdenerwowany wydarzeniem kie-
rowca Żuka (nr rej. LDA 511 Z),
który jechał za Ładą, wychylił
się z sioferki i wykrzyknął sien-
torowym głosem: „Ty ch...!”

Nieporozumienie polegało na
tym, że zarówno Flak, jak i
Łada kierowały kobiety, a więc
okrzyk był nonsensowny.

Proponujemy, aby w ramy
szkolenia zawodowych kierowców
wprowadzić propedeutykę seksu-
ologii. Wtedy ustrzeżemy się przed
takimi nieporozumieniami. Dość
namy w naszym życiu amato-
rów w tej dziedzinie.

P.OGLADACZ

HASŁO NUMERU: Skrę-
cając w prawo, spojrz w
lewo. Skręcając w lewo,
spojrz w prawo. Uważaj
jednak, aby nie skręcić
karku.



Rys. Walerian Domański

BŁĘDY BRATA

„Odgłosy” (to ten tygodnik, któ-
ry ukazuje się przy nas) obwie-
ścił na początku sierpnia, iż w
Kuopio, w Finlandii, odbył się
Ogólnopolski (podkreślenie
nasze) Festiwal Baletowy.

Na szczęście w całej aferze nie
zorientowały się dyplomatyczne
kółka fińskie.

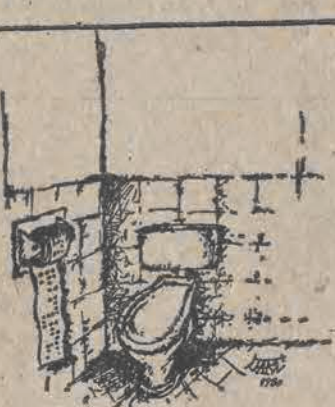
W poprzednim znów wydaniu
naszego brata, pod nagłówkiem
„W kręgu sztuki”, ukazały się ar-
tykuły „Opowieści lasu łagiewni-
ckiego” i „Narodziny onkologii w
Łodzi”.

Sztuka w tym wypadku polega
na zorientowaniu się, co jest
sztuką, a co nie.

SZPERACZ

ARTYŚCI I ŻYCIE

Godną pochwały dbałość o to,
aby artyści nie byli zbyt odo-
rzeni od rzeczywistości, wykazali
wykonawcy Domu Aktora (ul. Na-
rutowicza, naprzeciw Teatru
Wielkiego). Reporter „Dziennika
Popularnego”, który odwiedził in-
westycje tuż przed oddaniem jej
do użytku, zamieścił taką listę
niedoróbek, że pożywić się na niej
mogą dziesiątki satyryków. Wy-
tykkowo: są w ścianach rurki do
przewodów antenowych R-Tv, ale



Rys. Jan Kilkowski

w rurkach nie ma przewodów.
Lustra lustrunkowe znajdują się
nad sedesami (!?). Tunele wiat
wysły wykonawcom krzywo, więc
trzeba było zmniejszyć windy.
Zsyg zlokalizowano w takim miej-
scu, że do wybierania śmieci
MPO będzie musiało używać he-
likoptera.

Ita, itp.
Ręce same składają się do okla-
sków. Brawo, artyści z Kombina-
tu Budownictwa Komunalnego!
Co na bis?

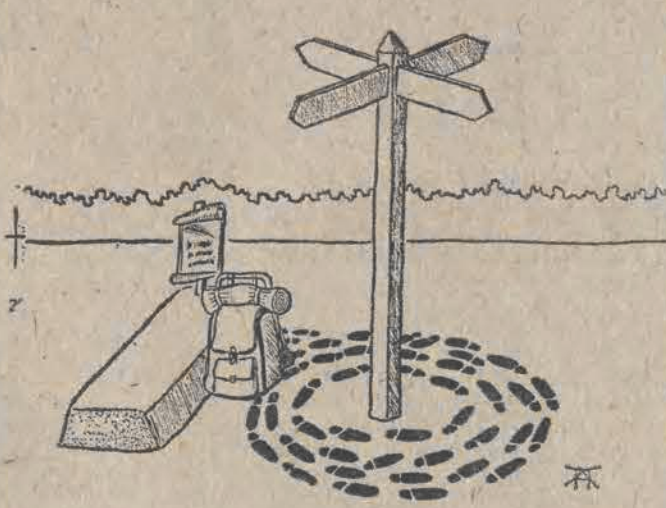
K.Lakier

SENATOR JORDACHE ŻYJE!

Sprawdził się krążący tu i ówdzie pogłoski o tym, że druga
część „Pogody dla bogaczy” posiada dwa różne zakończenia.
„Głos Pracy” z dnia 6-7.08. 88 r. w rubryce „Tydzień w Tv”
ujawnił, że ostatni odcinek, oglądany przez polskich widzów,
był produkcją „włoską”.

Ze swej strony musimy przyznać, iż zakończenie serialu od
początku budziło moje wątpliwości. Teraz wiem, że to właśnie
Włosi poważali się na to, aby ich rodak, już za grobu, jednym
cełnym strzałem przerwał karierę dobrze zapowiadającego się se-
natora. Prawdopodobnie w prawdziwej, amerykańskiej wersji,
Jordache, po zastrzeleniu tego psa Falconetti, uduje się wprost
do Białego Domu, gdzie w wygodnym fotelu prezydenta USA
spokojnie obejrzy sobie III część serialu.

K.O.Rektor



Rys. Andrzej Adamowicz